

# Tomasz Markiewka

---

## "Pamięć, władca [...] bezlitosny, wciąż i wciąż wskrzesza ponownie to, co minęło..." : fragmenty wspomnień Teodora Parnickiego

---

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce  
literatury polskiej 93/2, 153-211

---

2002

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach  
dozwolonego użytku.

## II. M A T E R I A Ł Y I N O T A T K I

Pamiętnik Literacki XCIII, 2002, z. 2  
PL ISSN 0031-0514

### „PAMIĘĆ, WŁADCA [...] BEZLITOSNY, WCIĄŻ I WCIĄŻ WSKRZESZA PONOWNIE TO, CO MINĘŁO...”

FRAGMENTY WSPOMNIEŃ TEODORA PARNICKIEGO

Odnalazł, opracował i do druku podał  
TOMASZ MARKIEWKA

Publikowane tu po raz pierwszy ocalałe fragmenty wspomnień Teodora Parnickiego są tekstem szczególnym. Wyjątkowa biografia urodzonego w Berlinie, wychowanego w Moskwie, Ufie i mandżurskim Charbinie powieściopisarza, który większość swego dojrzałego życia spędził w Meksyku, była dlań wielokrotnie źródłem inspiracji, zwłaszcza w późnej twórczości. Eksperymentalne powieści Parnickiego, gdzie obok wątków historycznych, fantastycznych i metafizycznych biografia zajmowała poczesne miejsce, nie były jednak pierwszymi utworami, w których pisarz sięgał do doświadczeń swego życia. W istocie już najwcześniejsze utwory Parnickiego, powstałe jeszcze przed jego oficjalnym debiutem jako autora powieści historycznych<sup>1</sup>, były tekstami w dużej mierze posiłkującymi się autobiografią: powieści *Trzy minuty po trzeciej*<sup>2</sup>, *Rozkaz nr 94*<sup>3</sup> oraz liczne opowiadania<sup>4</sup> odzwierciedlały doświadczenia z okresu 8-letniego pobytu w Charbinie (1920–1928), gdzie, nad brzegami Sungari, poznał późniejszy pisarz życie białej emigracji rosyjskiej oraz kolonii polskiej. Niestety, najważniejszy utwór powieściowy o charakterze autobiograficznym, tematycznie najbliższy publikowanym tu wspomnieniom – istniejąca jedynie w rękopisie powieść *Drogi* – najprawdopodobniej zaginął bezpowrotnie<sup>5</sup>. Mimo jednak tak

<sup>1</sup> T. Parnicki, *Aecjusz, ostatni Rzymianin*. Warszawa 1937.

<sup>2</sup> „Lwowski Kurier Poranny” drukował egzotyczno-sensacyjną powieść T. Parnickiego *Trzy minuty po trzeciej* od 26 VII 1929 (nr 414) do 24 I 1930 (nr 23). Bohaterowie powieści, Zagorski i Flagin, biali emigranci rosyjscy z Charbina, zostają wciągnięci przez japońskie służby specjalne do walki z bolszewikami. W powieści pisarz ukazuje m.in. kosmopolityczną atmosferę wschodnich metropolii (Charbin, Szanghaj, Władywostok), jaką miał okazję zaobserwować podczas pobytu na Dalekim Wschodzie.

<sup>3</sup> T. Parnicki, *Rozkaz nr 94*. „Kurier Lwowski” 1932, nry 133 (z 13 V) – 160 (z 10 VI). W powieści ukazana jest polska kolonia w Mandżurii: sytuacja Polaków uległa znacznemu pogorszeniu na skutek wprowadzenia restrykcyjnych zasad zatrudniania pracowników na Kolei Wschodnio-Chińskiej. Od roku 1924 Polacy mogli pracować jedynie pod warunkiem przyjęcia obywatelstwa chińskiego lub sowieckiego. Wprowadzenie parytetu rozpoczęło proces masowej repatriacji. W końcowym jej okresie Parnicki przyjechał do Polski, uzyskawszy stypendium na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie.

<sup>4</sup> Spośród opublikowanych w „Kurjerze Lwowskim” opowiadań czerpiących ze wspomnień wschodnich wymienić warto m.in.: *Nózki* (1932, nry 211, 212), *To Polska mówi* (1932, nry 231, 232), *Japończyk – wrzesień 1931* (1932, nry 280, 281, 284), *W Moskwie* (1933, nr 7).

<sup>5</sup> Powieść *Drogi* powstała w 1935 r. (kilka miesięcy po pierwszej powieści historycznej T. Parnickiego, *Hrabim Julianie i królu Roderyku*, opublikowanej dopiero w r. 1976) w związku z kon-

istotnej roli, jaką w całej twórczości pisarza zajmowała zawsze jego biografia, nie były dotąd znane teksty, które w sposób jawny miałyby charakter wspomnieniowy. W pewnym zakresie rolę taką spełniać mogły niektóre wykłady wygłoszone przez autora *Słowa i ciała* na Uniwersytecie Warszawskim w roku akademickim 1972/73<sup>6</sup> czy też wspomnienie o nauczycielu, orientaliście i dyplomacie, Konstantym Symonolewiczu (1884–1952)<sup>7</sup>.

Publikowane tu wspomnienia spisał Parnicki wkrótce po przyjeździe do Meksyku z misją dyplomantyczną rządu londyńskiego (sierpień 1944). Możliwe jest w miarę dokładne ustalenie czasu powstania tekstu na rok 1945. Pisze bowiem autor: „Gdy m i e n a s t u l a t y jechał [...] z Mandżurii do Polski” (podkreśl. T. M.), jak zaś wiadomo, wzmiankowaną podróż odbył 20-letni Parnicki w sierpniu 1928. Postacią główną wspomnień jest Iwan Aleksandrowicz Nazariw, jeden z rosyjskich przyjaciół ojca pisarza, inżyniera Bronisława Parnickiego. Losy Nazariewa, ewolucja jego postawy politycznej od gorącego agitatora, socjalisty-miejszewika, do zacieklego przeciwnika przewrotu bolszewickiego, walczącego w szeregach armii Aleksandra Kołczaka z rewolucją, a następnie białego emigranta, stanowią oś konstrukcyjną tekstu. „Wspomnienie o Nazariwie” daje jednak pisarzowi okazję do pełnego pietyzmu odtwarzania obrazów z dzieciństwa, tym droższego, iż przedwcześnie utraconego. Zachowały się fragmenty trzech części wspomnień: *Spotkanie pierwsze* (będące opisem podróży rodziny Parnickich z Moskwy przez Warszawę i Berlin do Szwecji w 1913 r.), *Spotkanie drugie* (opowiadające o latach przymusowego pobytu Parnickich – obywateli niemieckich – w Ufie, w latach 1915–1918) oraz *Spotkanie trzecie* (kilka obrazów z okresu pobytu w Charbinie z lat 1920–1928).

Wspomnienia pozwalają na poznanie biograficznych uwarunkowań, które doprowadziły do pojawienia się w twórczości pisarza obsesyjnie powracających obrazów – zwłaszcza różnorodnie interpretowanego motywu bosych stóp. U jego źródeł leżały zarówno surowe wychowanie przez matkę, jak i krytyczne nastawienie rówieśników, połączone bardzo wcześnie z sublimacją artystyczną (wspomnienie obrazu przedstawiającego bosą Marię Magdalenę, oglądanego w 1913 r. w berlińskim pensjonacie). Na baczną uwagę zasługują również te fragmenty wspomnień, które opisują stosunek do – często nieobecnego – ojca. Epizody ufańskie z czasów wojny światowej oraz rewolucji są świadectwem potęgującego się lęku przed utratą ojca. Pisze Parnicki:

W szczególności zaś złym stanie znajdował się system nerwowy mojej matki. N i e o b e c n o ś ć o j c a w domu napawała ją straszliwą t r w o g ą.

Następnie zaś:

---

kursem Polskiej Akademii Literatury i Książnicy Atlas. O powieści tej pisał Parnicki ze Lwowa do swego charbińskiego nauczyciela, Konstantego S y m o n o l e w i c z a, w sposób następujący: „*Drogi* moje zasługują na uwagę: posługując się zupełnie nowoczesną (conradowsko-huxleyowsko-pilniakowską) techniką, zamknąłem w niej, z jednej strony, całe swe życie, bądź co bądź dosyć ciekawe, wszystkie procesy religijne, moralne, psychiczne, które dokonywały się we mnie w zetknięciu z różnymi światami i różnymi cywilizacjami (Niemcy i Szwecja we wczesnym dzieciństwie, Rosja carska i bolszewicka, Charbin... inteligencki materializm domu rodziców, katolicka atmosfera gimnazjum i bursy, artystyczne wpływy literatury pięknej i wpływy Pańskie... itd. itd.)... W powieści tej jestem może za szczery: występuje w niej bardzo silne duchowe obnażanie się – swoją drogą, jako bohater powieściowy nie jestem typem budującym – ale też to zarazem analiza inteligentna – pogrobowca kultury przedwojennej – znajdującego się w centrum obstrzału ze strony różnych światów” (fragment listu T. P a r n i c k i e g o do K. Symonolewicza, z 22 V 1935, publikowany za uprzejmą zgodą p. Zygmunta L i c h n i a k a).

<sup>6</sup> Wykłady opublikowane zostały w: T. P a r n i c k i, *Historia w literaturę przekuwana*. Warszawa 1980.

<sup>7</sup> Zob. T. P a r n i c k i, *Mój nauczyciel*. „Nurt” 1974, nr 4, s. 15.

matka moja [...] wysyłała mnie na miasto. Zlecenie było stanowcze, zwięzłe, a bardzo ogólne: znaleźć ojca. Błądziłem więc po ulicach [...]: często, gdy wracałem z rozpaczy, zastałem już ojca w domu. Z biegiem czasu ów stan ciągle niepokojący, potęgający się u mojej matki z dnia na dzień, i mnie się też zaczął udzielać. [Podkreśl. T. M.]

W 9 lat po powstaniu wspomnień zapisał Parnicki na odwrocie kart, na których się znajdowały, swą wielką powieść o Leptynesie poszukującym utraconego ojca, mechanika i rzeźbiarza, Orestesa. Teoretycznoliteracka figura palimpsestu nabiera tu wymiaru szczególnej dosłowności.

Dylematy rosyjskiej inteligencji, wizje przyszłości Rosji, wstrząsające obrazy rewolucji obserwowanej oczami dziecka zajmują na kartach wspomnień wiele miejsca. „Wspomnienia o Nazariwie” doskonale oddają kosmopolityczną atmosferę rodzinnego domu pisarza, portretują przyjaciół ojca, mówią o postępującej chorobie, a następnie śmierci matki, o dziecięcych fascynacjach literackich, o nauczycielach i klerykalnej atmosferze charbińskiego gimnazjum polskiego. Są wreszcie wzruszającym echem pierwszej, nieco naiwnej i zawiedzionej miłości Parnickiego do siostry Iwana Aleksandrowicza, Nadzieży.

Tekst jest ponadto ciekawym świadectwem kształtowania się technik pisarskich, które w twórczości Parnickiego miały zająć poczesne miejsce. Dysputa ideologiczna dotycząca Rosji, jaka odbyła się w domu Parnickich w Ufie między Nazariwem a bolszewikami Birmanem i Świderskim, relacjonowana jest przez autora w formie zapisu protokolarnego, mającej się tak często pojawiać w późniejszych powieściach.

Publikowany tu tekst wspomnień powstał na początku długiego okresu milczenia Parnickiego. Pierwsze lata pobytu w Meksyku były czasem studiów nad historią oraz wielu przewartościowań artystycznych, które po latach sprawiły, iż autor opublikowanych w Jeruzolimie w 1944 r. *Srebrnych orłów* stał się jednym z największych w literaturze światowej nowatorów powieści historycznej. Planując swą przyszłą twórczość wyznawał jednak przyjacielowi:

zawsze właściwe mi jest w silnym stopniu iście Proustowskie ściganie minionego, a nie dającego się już, niestety, pchnąć wstecz Czasu... i to w silniejszym często stopniu w odniesieniu do okresu charbińskiego niż bezpośrednio przedwojennego. Zresztą sam ja, i zewnętrznie, i psychicznie zmieniam się bardzo mało; przeżycia, nowe książki, podróże, nowe problemy czynią mnie oczywiście dojrzałym intelektualnie (może ze szkodą dla imagacji) – ale psychicznie chyba jestem zupełnie taki sam – z plusami i minusami – jak w okresie [...] pierwszych zachwyty nad *Kapitanami* [Gumilowa]<sup>8</sup>.

Publikowane tu wspomnienie o Iwanie Aleksandrowiczu Nazariwie jest jednym ze szczęśliwie ocalałych świadectw owego „ścigania czasu minionego”.

Fragmenty rękopisu wspomnień zachowały się na 197 kartach, które później zostały wykorzystane przez Parnickiego do napisania tomu 2 *Końca „Zgody Narodów”*. Tekst tego tomu powstał w okresie od 5 V do 6 VI 1954, na co wskazuje konsekwentne datowanie numerowanych stron rękopisu: od 916 do 1827 (razem 911 kart). Papier pożółkły, tekst zapisany jest szarogranatowym atramentem lub ciemnoniebieskim długopisem; numeracja ciągła stron – czerwonym długopisem na lewym marginesie; czerwonym długopisem również zaznaczone są cudzysłowy w tekście głównym oraz marginalia i uzupełnienia. Ostatnia karta rękopisu opatrzona jest adnotacją: „1827, strona ostatnia, Mexico D. F., niedziela, 6 czerwca, godz. 1 w nocy (noc z soboty na niedzielę)”.

<sup>8</sup> Fragment listu T. Parnickiego do K. Symonolewicz, z 1 III 1947, publikowany za uprzejmą zgodą p. Zygmunta Lichniaka.

Jak już powiedziano, rękopis wspomnień powstał w 1945 r. w Meksyku – brak jednak szczegółowego datowania kart uniemożliwia bardziej precyzyjne ustalenie czasu powstania tekstu. Tak więc oba teksty (wspomnień i powieści) dzieli od siebie okres prawie 10 lat. Praktyka ponownego użytkowania wcześniej zapisanych kart (uznanych z różnych powodów za niepotrzebne) była dość częsta u Parnickiego. Obok tekstu wspomnień wykorzystane zostały przezeń przy pisaniu *Końca „Zgody Narodów”* również karty z fragmentami zarzuconej próby dramatycznej (dialog między Alessandrą, Marią i Manuelem, z którego zachowało się 14 kart (rkps powieści – k. 929–941, 948 v)), z próbami prozatorskimi (dialog Sekstosa Juliosa i Aleksandry (rkps powieści – k. 983, 984, 1135, 1137 v)), z fragmentami przepisanej prozy XVI-wiecznej (list Orzechowskiego do Uchańskiego), z obszernymi fragmentami *Narzekania w Wyznaniu Wiary, nieboszczyka Księdza Biskupa Kujawskiego, Jana Drojowskiego, które czynił tudzież przed śmiercią swą, przy bratu swym i przy niektórych służebnikach swych, którzy to z ust jego ekspowalili*, fragmentami staropolskich przekładów psalmów 21 i 31 oraz z obszernymi wypisami z angielskich przekładów *Starożytności żydowskich* Józefa Flawiusza, z dzieł historycznych Polibiusza, a także z wyciągami z rozprawy W. W. Tarna *Seleucid-Partian Studies* z 1930 roku. Najważniejszym tekstem oryginalnym zachowanym na odwrocie rękopisu powieści są fragmenty zapisków dziennika (k. 1085–1089, 1123, 1091–1092, 1100, 1101, 1102 v – razem 11 kart).

Spośród wszystkich zapisków wykorzystanych ponownie przez Parnickiego jedynie tekst wspomnień nosi ślady opracowywania podobne do tych z rękopisu powieści. Liczne są tu uzupełnienia, skreślenia czy marginalia. Podobnie jak w tekście powieści, cudzysłowy są sporadycznie zaznaczone czerwonym długopisem. O tym, iż wspomnienia traktował autor (przynajmniej do czasu podjęcia decyzji o wykorzystaniu kart do pisania powieści, czyli do maja 1954) z wielką uwagą, świadczy fakt, iż zachowała się jedna ich karta przepisana na maszynie (fragment *Spotkania pierwszego* (rkps powieści – k. 1084 v)). Pytanie, czy więcej fragmentów wspomnień (całość?) zostało przepisanych maszynowo, pozostaje – na razie – bez odpowiedzi.

Z części pierwszej wspomnień (podróż do Szwecji w r. 1913) zachowały się stronic 1, 3–13, 26, 28–76; z części drugiej (lata pobytu w Ufie, 1915–1918) stronic 1, 4–7, 12–32, 45–136; z trzeciej (Charbin, lata 1920–1928) – jedynie stronic 1–20. Znajdują się one (bez zachowania kolejności) na odwrocie następujących stronic rękopisu powieści: 918–928, 942, 944–947, 953–982, 990–1021, 1022–1083, 1103–1133, 1138–1162.

Drukując niniejsze wspomnienia modernizujemy pisownię, przy zachowaniu starych form rzeczowników w dopełniaczu liczby mnogiej zakończonych na *-yj* oraz dużych liter stosowanych przez Parnickiego ze względów grzecznościowych. Podkreślenia oddajemy drukiem rozstrzelonym. Częste u Parnickiego dopiski na marginesach, poprawki oraz uzupełnienia w miejsce fragmentów przekreślonych – ujęte zostały w klamry { }.

Manuskrypt *Końca „Zgody Narodów”* przechowywany jest w Bibliotece Polskiej w Londynie w dziale rękopisów, pod sygnaturą 395. Znajduje się w paczce zaadresowanej: Mrs Eleonora Grygier, 203 North End Road, London W14. Datownik przy znaczkach jest nieczytelny. Pisarz przesłał rękopis powieści z Meksyku do Londynu, gdzie został on w całości przepisany na maszynie i przygotowany do publikacji w paryskiej „Bibliotece Kultury” (1955)<sup>9</sup>. Eleonora Grygier, od 1955 r. żona pisarza, opuszczając Londyn pozostawiła rękopis (który nazbyt obciążałby bagaż w czasie przeprowadzki za ocean) u swych przyjaciół, pp. Weese. W roku 1970 rękopis został przekazany przez p. Weese jako depozyt do Biblioteki Polskiej, gdzie jest przechowywany do dziś.

<sup>9</sup> Pierwszy fragment powieści, pt. *U progu Wielkiej Przygody*, został opublikowany w paryskiej „Kulturze” w r. 1954 (nr 7/8, s. 11–37). Sama powieść ukazała się drukiem w 1955 r. jako tom 12 „Biblioteki Kultury”.

Udostępnienie rękopisu oraz udzielenie zgody na publikację wspomnień zawdzięczam uczynnej życzliwości dyrektora Biblioteki, nieodżałowanej pamięci dr. Zdzisława Jagodzińskiego. Za zezwolenie na publikację wspomnień oraz za okazaną pomoc składam serdeczne podziękowania Pani Eleonorze Parnickiej.

### Spotkanie pierwsze

Było to w roku 1913. Jechałem z rodzicami do Szwecji. Podróż ta miała {stać się} dla mnie bezwzględnie najsilniejszym przeżyciem całego dzieciństwa. Pozostawiła po sobie radosne, świetlane, aż po dziś dzień nie dające się zatrzeć wspomnienie {o} wyprawie w krainę przedziwnej baśni, gdzie potężni a dobrzy magowie, wzięwszy na się postać inżynierów, trują się dzień i noc nad uszczęśliwianiem ludzkości za pomocą {czarodziejskich} zaklęć, {zapisanych matematycznymi znakami} w wielkiej {a świętej} księdze tajemnic techniki. Dziecinną ta wizja oparła się zwycięsko sceptycyzmowi moich lat późniejszych zapewne dlatego, że już nigdy potem w Szwecji nie był. Ale gdziekolwiek spotkałem Szwedów, szukałem z nimi zbliżenia, zabiegałem o ich przy[jaźń] [...] <sup>1</sup>.

[...] o siódmej wieczorem, zatrzyma się między dziesiątą a jedenastą na stacji Borodino. Nie rozległ się jeszcze trzeci dzwonek, nie odeszli jeszcze od naszego okna licznie zgromadzeni na dworcu koledzy ojca i krewni matki – a ja już rozpoczynałem z obojgiem rodziców zaciętą walkę o prawo czuwania, dopóki nie minie my owej stacji Borodino. Przeżywałem bowiem właśnie o tym czasie okres religijnego kultu dla osoby Napoleona – kultu częstokroć dosłownie modlitewnego, nierzadko wpadającego w histerię. Kult ów zrodził się mniej więcej na rok przed naszym wyjazdem do Szwecji; nie mógł się nie zrodzić: cała bowiem Moskwa żyła wtedy pod znakiem obchodów stulecia napoleońskiej wyprawy na Rosję. Ale wówczas, gdy moi rówieśnicy wypełniali sobie całe dnie triumfalnym wykrzykiwaniem nazwisk Kutuzowa <sup>2</sup>, Rospotczyna <sup>3</sup>, Płatowa <sup>4</sup> i Miłoradowicza <sup>5</sup> – ja samotnie stałem przy Napoleonie, doprowadzając do rozpaczki matkę i służącą nieustannym krzyżowaniem rąk na piersiach i psuciem wszystkich {w domu kapeluszy} przefasonowywaniem ich na napoleońskie. Więc jakżebyłem mógł pozwolić {na to}, ażeby położono mnie spać, {zanim pociąg} zatrzyma się na stacji Borodino, gdzie moje bóstwo stoczyło jedną z najsztywniejszych swych bitew?! Walczyłem z matką zawzięcie; bronią moją była groź-

<sup>1</sup> Brak jednej karty rkpsu, oznaczonej numerem 2 I.

<sup>2</sup> Michaił K u t u z o w (1745–1813), wybitny wódz rosyjski, generał-feldmarszałek, dowódca wojsk koalicyjnych podczas bitwy pod Austerlitz, dowódca w bitwie pod Borodino.

<sup>3</sup> Fiodor R o s p o t c z y n (1763–1826), hrabia, generał, rosyjski mąż stanu; od 1791 r. w służbie dworskiej. W roku 1812 kierował obroną Moskwy, gdzie z energią zorganizował 120-tysięczną armię ochotników. Przypisuje mu się spalenie Moskwy, będące jedną z przyczyn klęski Napoleona. W latach 1814–1823 przebywał w Paryżu.

<sup>4</sup> Matwiej Iwanowicz P ł a t o w (1751–1818), rosyjski generał, jeden z bohaterów wojny r. 1812, w której dowodził dońskim korpusem kozackim; był następnie uczestnikiem kampanii 1813–1814 roku.

<sup>5</sup> Michaił A. M i ł o r a d o w i c z (1771–1825), generał rosyjski; w czasie bitwy pod Borodino w 1812 r. dowodził prawym skrzydłem wojsk rosyjskich; od 1818 r. był gubernatorem Petersburga.

ba głodówki, tym skuteczniejsza, że rzuciłem niebawem na pole walki potężne rezerwy płaczu. Wygrałem, ale jak się okazało, nie potrafiłem wykorzystać zwycięstwa. Z pola bitwy, które całkowicie opanowałem, wywabili mnie dwie dziwne postacie: grubas na osle i straszliwie chudy olbrzym na {niesamowicie} chudym również koniu. Raz po raz spoglądali na mnie z kartek książki przerzucanej przez ojca; usiadłem na jego kolanach i {już} nie odrywałem {ani} oczu, {ani} myśli od {zabawnych} przygód obu jeźdźców; raz po raz żądałem, aby mi ojciec wyjaśniał, o co {w tej książce} właściwie chodzi. {Wyjaśnienia} dorywcze, zrazu niezbyt chętne, {bardzo prędko się jednak} zlały w strumień potoczystej opowieści, która tak mnie porwała, że gdy za oknem czyjś głos w ciemnościach zawołał „Borodino” – zmartwiła mnie raczej ta nagła przerwa w opowiadaniu, i to w dodatku w tak emocjonującym momencie, jak uwolnienie przez Don Kichota zakutych w kajdany aresztantów. Z niecierpliwością czekałem, kiedyż {to wreszcie} pociąg znowu ruszy; w świątyni, jaką w sobie wzniosłem, dokonywała się wielka rewolucja religijna. Ołtarze smętnego rycerza z La Manczy miały w jej murach {znacznie} dłużej przetrwać niż napoleońskie: po {trzech albo i czterech} dopiero latach obaliło je triumfalne wkroczenie Ferdynanda Cortesa. Ten miał pozostać na długo. Na bardzo długo.

Gdy pociąg ruszył, wybuchła druga wojna religijna między mną a matką. Don Kichot zdołał zgromadzić jeszcze potężniejsze rezerwy płaczu niż zwycięzca spod Austerlitzu i Frydlandu. Zyskał też nieoczekiwanego sprzymierzeńca: ojciec mój tak się zapalił do własnego opowiadania, że poparł mnie całkowicie; przyrzekł matce, że gdy skończy, sam mnie rozbierze i ułoży do snu. Matka usiłowała się zrazu bronić przeciw temu nagłemu zaskoczeniu z flanków, ale musiała skapitulować i niebawem, nie kładąc się, zasnęła, z łokciami opartymi o stolik pod oknem. Ta demonstracjaomalże znowu nie przerwała opowiadania; ojciec chciał skłonić matkę, ażeby się położyła; w tym celu zaczął lekko trząść ją za ramię. Ja jednakże miałem już za sobą doświadczenie nie pozwalające wątpić, iż dopóki nie zasnę, matka się nie położy. Odwołałem się więc jak najprzebieglej do ambicji narratorskich ojca, zapewniając go {przy tym}, że jak tylko skończy opowiadać – a to przecież nie potrwa już długo – okażę mu pełną męską solidarność, i to zarówno przez pomoc w przygotowywaniu posłania dla matki, jak też i w trudnej a nudnej pracy rozsznurowywania jej wysokich bucików.

A jednak nikt się z nas trojga nie położył tej nocy. Zmarnowaliśmy wyjątkową zupełnie okazję posiadania całego przedziału do swojej wyłącznej dyspozycji. Ojciec nie spał, bo matka się nie kładła; ona zaś się nie kładła, bo ja nie zasypiałem. Przyzwyczajony kłaść się przed ósmą, podniecony najpierw wyczekiwaniem stacji Borodino, a potem obrazkami i opowieścią o Don Kiszocie, całkowicie straciłem ochotę do snu. Nie dałem się nawet rozebrać. Jadłem czekoladę i piłem zimną herbatę. Zapytywałem ojca, czy to jest możliwe, ażeby istniały kobiety z brodami – czy też był to tylko kawał, aby zabawić się kosztem zdumienia Don Kiszota. Upomniany o to, ażebym wywiązał się z podyktowanych poczuciem {męskiej} solidarności obietnic, usiadłem na podłodze przedziału i zacząłem rozsznurowywać buciki matki. Ale zaledwie mając poczęła w oknie, z sekundy na sekundę coraz to bledsza, szarość przedświt, oderwałem swe ręce od sznurowadeł i wgramoliłem się z butami na pasiaste obicie siedzenia. Przywarłem czołem do szyby: po raz pierwszy w życiu oglądałem wschód słońca.

W piętnaście lat później zdarzyło mi się znowu oglądać wschód słońca w tym samym niemal miejscu: z okna pociągu, sunącego od Wiaźmy ku Smoleńskowi<sup>6</sup>. Nie zrobił na mnie {żadnego} wrażenia; prawdopodobnie {także} i tamten, o piętnaście lat wcześniejszy, nie należał do {piękniejszych} obiektywnie wschodów słońca. Ale ponieważ był pierwszy w moim życiu, pozostawił po sobie wrażenie czegoś fantastycznie pięknego, czegoś olśniewająco czarownego. Widywałem później wschody słońca wielokrotnie. Niejeden raz śledziłem płomienną kulę, jak {wyływała} spoza linii horyzontu ponad białą mgłą osnuty bezmiar północnego Atlantyku<sup>7</sup> czy ponad bezkresne, żółte jesienną porą, stepy sowieckiego Kazachstanu<sup>8</sup>.

Ściagałem się z nią w samolocie, o kilka minut, może o kwadrans cały wyprzedzając w powitaniu dnia osnuty jeszcze szarością Bukareszt. Przez miesiąc cały prawie dzień w dzień oglądałem, jak różowieć {poczyna} kolumna Trajana i odzyskują złocistość czarne nocą rumaki, zdobiące pomnik Wiktora Emanuela<sup>9</sup>. {Niby} wyznawca Mitry, dziękczynnymi modłami witałem promienne bóstwo, co zjawieniem się swym zapowiada dłuższą przerwę w nalotach na Londyn lub też zbliżanie się radosnej chwili rozdawnictwa chleba w sowieckim więzieniu. Wysiłkiem {woli}, bez przesady heroicznym, zmuszałem siebie do rezygnacji z rozkoszy snu, ażeby się nie spóźnić na wspaniałą ceremonię wieńczenia turkusowych kopuł Meszhedu rozedrganym diademem ze słonecznych promieni. Obserwowałem bratanię się złota ze złotem: wschodzącego słońca z kopułą katedry sofijskiej. Widziałem, jak zapalało, niby świece, kolce kaktusów meksykańskich. {Jak zatykało sztandar japońskiej agresji na nagich szczytach „sopek”<sup>10</sup> mandżurskich.} A jednak niezmiennie, jednak zawsze – na lądzie czy na morzu, na stepach czy w górach, w zamknięciu czy na wolności, po tej stronie Atlantyku czy po tamtej – mówiłem sobie z westchnieniem zawodu: – Nie, to jednak nie to samo. Absolutnie

<sup>6</sup> Miało to miejsce w sierpniu 1928, podczas podróży Parnickiego z Charbina w Mandżurii (gdzie mieszkał przez 8 lat) do Polski.

<sup>7</sup> Podczas podróży z Londynu do Meksyku w r. 1944, dokąd jechał Parnicki pełniąc misję dyplomatyczną rządu RP na uchodźstwie.

<sup>8</sup> Parnicki po swym aresztowaniu we Lwowie 23 I 1940 więziony był m.in. na Zamarstynowie, w Gorodni i Czernichowie. Miejscem uwięzienia w Kazachstanie był zakład karny w Kustanaju, skąd Parnicki został zwolniony 27 VIII 1941. Zob. „Ale mój świat to zakłete koło...” *Listy Teodora Parnickiego do Tymona Terleckiego z lat 1942–1943*. Oprac. T. M a r k i e w k a. „Pamiętnik Literacki” 2000, z. 1, s. 190.

<sup>9</sup> Bukareszt, Sofię i Rzym odwiedził Parnicki wiosną i latem 1939. Podróż była nagrodą Polskiej Akademii Literatury za powieść *Aecjusz, ostatni Rzymianin* (Warszawa 1937).

<sup>10</sup> Ukazując w jednym ze swych młodzieńczych opowiadań mandżurski krajobraz, pisał T. P a r n i c k i (*Rozkaz nr 94*. Cz. 5. „Kurier Lwowski” 1932, nr 139, z 20 V, s. 6) o „sopkach” (obserwowanych oczami literackiego *alter ego*, Mieczysława Borowskiego) w sposób następujący: „Spojrzał dookoła... pod nim przytulona – jak dziecko do łona matki – do stalowego węzła linii kolejowej – czerwieni się cegłą murów i masą chińskich dachówek – mała osada Jału... W górze ogniwa wielkiego Chingańskiego łańcucha – pojedyncze góry, ogołocone z zieleni, tzw. »sopki«, za którymi roztacza się czarodziejska, znikająca zawsze, ilekroć stara się ktoś do niej zbliżyć – Kraina Nocnego Królestwa Słońca... Nieregularne odłamy skalne, wyraźnie odcinające się od masy »sopek« – robią niesamowite, fantastyczne wrażenie... oto jeden z takich odłamów górujących nad linią kolejową zdaje się ożywać... Nieforemne, bezmyślnie przez naturę wyrzeźbione kształty przybierają jakiś sens... jakiś określony wygląd... Borowski – upojony wszystkim – co mu pełną garścią daje hojnie w nagrodę za znojnę spędzony dzień – cudny wieczór mandżurski – dostrzega w owym odłamie postać Sfinksa...”



nie to samo, co tamten pierwszy wschód słońca gdzieś między Wiaźmą a Smoleńskiem, ukazujący się moim upojonym dziecięcym oczom w niewielkim prostokącie okna przedziału, przez którego drzwi po upływie półtorej godziny wkroczyć miała w moje życie zdumiewająca, niepokojąca, nigdy w pełni nie odgadniona postać Iwana Aleksandrowicza Nazariewa.

Trzydzieści z górą lat minęło od tamtego poranka. Niemało to, {a} więc nie dziw, że raz po raz z niepokojem zastanawiam się nad tym, czy istotnie {aż} tak dobrą, jak to {się mówi}, posiadam pamięć, aby stać ją było na przekazanie dniowi dzisiejszemu, i to w formie nieskażonej a dokładnej, wszystkich {ważniejszych} okoliczności owego pierwszego spotkania z Iwanem Nazariewem. Głupstwo zrobiłem, że spotykając go później, nie skonfrontowałem jego wspomnień z owej chwili ze swoimi własnymi. Miałbym niezły sprawdzian wartości swojej pamięci. Co prawda, pewnym niezaprzeczoną sprawdzianem dysponuję, i to bez konfrontacji z Nazariewem. Gdy przed siedemnastu laty jechałem przez Rosję Sowiecką z Mandżurii do Polski, z wielkim zaciekawieniem wypatrywałem, czy obraz rzeczywisty dworca w Smoleńsku pokryje się z tym, jaki żył w mojej pamięci od czasu owej podróży z rodzicami do Szwecji. Oczywiście, nieudanie się temu nie przesądziłoby jeszcze o wyroku na moją pamięć; pozostawało mi bowiem prawo apelacji z powołaniem się na taką ewentualność, jak pomalowanie w międzyczasie dworca na inny kolor lub wybudowanie nowego. Ale nie potrzebowałem apelować: gdy pociąg Moskwa–Niegoriełoje zatrzymał się przed peronem w Smoleńsku, z satysfakcją stwierdziłem, że dworzec w tę samą absolutnie pomalowany jest ciemną czerwień, od której w jesienny, {mglisty} poranek przed tyłu, tyłu laty oderwała się {nagle} wysoka męska postać, ubrana w brązowy płaszcz i trzymająca w prawej ręce niewielką, brązową również walizkę. Na głowie postać ta miała czarny kapelusz, tak podobny do kapelusza mojego ojca, a przy tym tak {jaskrawie} odbijający od jednolitej masy kaszkietów, {fałujących} ponad peronem mniej więcej na wysokości moich oczu – że od razu skupiłem na tej postaci całą swoją uwagę. Niebawem stwierdziłem, że po chwili wahania posiadacz czarnego kapelusza wszedł na stopnie naszego wagonu. Natychmiast zaalarmowałem matkę: przeważnie solidarny {raczej} z ojcem niż z nią, {w pełni przecież} podzielałem zawsze jej niechęć do przebywania w towarzystwie obcych ludzi, jej niepokój przed zawieraniem nowych znajomości. Była to właściwość, która wybitnie [...] <sup>11</sup>.

{ -- O, nie, znacznie dalej.

Ożywienie w oczach matki dużo straciło z ciepła życzliwości; ale wciąż jeszcze tliły się w nich iskierek nadziei, gdy pytała:

– Więc może do Brześcia Litewskiego?

Zgasły całkowicie wówczas dopiero, gdy pan Zagorski, potrząsając przecząco głową, nie pozostawił nawet nadziei na Warszawę. Oświadczył, że jedzie za granicę.

<sup>11</sup> W tym miejscu kończy się karta 13 I. Kart 14 I – 25 I brak w rękopisie. Z zaginionej części zachowała się jedna karta maszynopisu (oznaczona numerem stronicy 11), zawierająca fragment rozmowy Parnickich z tajemniczym nieznajomym. Na odwrocie maszynopisu znajduje się stronica 1084 rękopisu tomu 2 *Końca „Zgody Narodów”*. Zapis z tej karty ujęty tu został w klamry.

– Bardzo się cieszymy – odezwał się mój ojciec. – Weselej nam będzie razem. Trzeba będzie się pilnować, abyśmy się nie zgubili przy przesiadkach w Warszawie i Aleksandrowie.

Jak też i przypuszczałem, między panami nawiązała się niebawem ożywiona rozmowa. Złościła mnie – przede wszystkim dlatego, ponieważ raz po raz odrywała moją uwagę od obrazków, których treść często nie znajdowała żadnego objaśnienia w moich wspomnieniach o treści nocnego opowiadania ojca. Aż przyszedł moment, żem tylko udawał zainteresowanie dla obrazków, naprawdę zaś wsłuchiwałem się bardzo uważnie w słowa obu rozmówców. Słyszałem w ustach ojca rzeczy na ogół sobie znane, więc na przykład o synach właściciela zakładów przemysłowych, gdzie ojciec pracował, Niemca Gustawa Liszta, jak to oni obaj przyjęli prawosławie i obnoszą dumnie swoje cesarskie imiona, Aleksander i Mikołaj, niby certyfikaty rdzennej rosyjskości. Ale dowiadywałem się także i rzeczy zupełnie dla siebie nowych: nareszcie zrozumiały mi się stał właściwy cel naszej podróży do Szwecji. Ojciec bowiem poinformował pana Zagorskiego, że wysłany został przez firmę Gustaw Liszt i Synowie, jako mąż zaufania do pertraktacyj z dyrekcjami kilku zakładów przemysłowych w Eskilstūna<sup>12</sup>. Oczywiście, to, co ojciec opowiadał o celu i charakterze owych zamierzonych pertraktacyj, nie było dostępne mojemu zrozumieniu; pana Zagorskiego natomiast nie tylko interesowało, ale skłaniało do wtrącania częstych a długich uwag,}

[...]stwem tyradzie przypadkowo odżyło w mojej pamięci, jako szczegół niezwykle pikantny, a to ze względu na specjalne zupełnie okoliczności, w jakich spotkaliśmy się w Rzymie<sup>13</sup>.

Oto jak brzmiała ta tyrada:

– Ja księdzem?... Czemu pan nie powiedział raczej: złodziejem kieszonkowym albo prowokatorem, z ramienia policji organizującym zamach terrorystyczny?... Mniej by mnie pan dotknął... Ksiądz! I to w dodatku katolicki!... Każda religia, tak, każda, ale katolicka w szczególności, to ohydne... potworne narzędzie ucisku mas pracujących... Narzędzie, jedno z najpotężniejszych, w ręku wyzyskiwaczy wszystkich czasów i wszystkich kontynentów...

Napisałem to, {i oto czuję, że gotów} jestem posunąć się nawet tak daleko, aby {bez wahania} przyznać, iż możliwość odtworzenia tej tyrady zawdzięczam w znacznie silniejszym stopniu konfrontacji rzymskiej niż zaletom własnej pamięci. Jako że trudno sobie wyobrazić, ażeby pięcioletni chłopak rozumiał chociażby częściowo treść tej tyrady; a jeżeli nawet dopuścimy [...] <sup>14</sup>.

Pierwsze wypowiedziane po łacinie przez mego ojca słowa stanowiły niewątpliwie replikę na ten uśmiech. Oczywiście, gdybym mylił się co do samej istoty owego uśmiechu, cała moja rekonstrukcja nie byłaby warta złamanego grosza. Ale nie mogłem się pomylić. Ani teraz, ani wówczas. Bo uśmiech ten – wzgardliwy i gniewny – nie był dla mnie, pięcioletka, nowością. Byłem dobrze z nim oswo-

<sup>12</sup> Eskilstūna – miasto w środkowej Szwecji w okręgu Södermanland, ważny ośrodek przemysłu metalowego i precyzyjnego.

<sup>13</sup> Jak wynika z tego fragmentu, Parnicki spotkał się z Iwanem Nazariewem podczas swego pobytu w tym mieście latem 1939.

<sup>14</sup> Brak jednej karty rkpsu, oznaczonej numerem 27 I.

jony; niejednokrotnie śledziłem z niepokojem jego narodziny, na innej co prawda twarzy. Na twarzy mojej matki. Pojawiał się niezmiennie, ilekroć, {dając} się {wreszcie} przekonać namowom stryja czy ciotki i przykładowi starszych od siebie kuzynek, odważałem się zdjąć sandały i skarpetki i boso zejść z werandy na chłodną, soczystą, bujną trawę, która, niby morze falujące, okalała zielenią drewnianą wilijkę, co lipca podnajmowaną przez ojca w podmoskiewskiej miejscowości letniskowej Małachowce. Ponieważ ów przyływ odwagi wzbierał we mnie chyba z dziesięć razy w ciągu każdego lat[a], więc też i ów uśmiech na ustach matki, wzgardliwy a gniewny, był zjawiskiem wcale nierzadkim. Jest więc wykluczone, ażebym {miał} błędnie rozszyfrować istotę uśmiechu, identycznego zupełnie w wyrazie, choć i na innej odmalował się twarzy. Ale co wzbudziło wzgardę i gniew Aleksandra Rodionowicza Zagorskiego? Niewątpliwie ćwiczenia żołnierskie. Ale czy miał to {być} protest przeciw samemu widokowi ćwiczeń: protest przeciw widokowi zwierzęcych ruchów biegu i padania na ziemię – ruchów przeciwnych naturze stworzonych do pracy myśli istot ludzkich?... Czy {też} było to zdziwienie, dlaczego ci ludzie, dostawszy w ręce broń, nie obróćą jej przeciw tym, którzy im ją wręczyli?... A może raczej niemy bunt przeciwko nieśmiertelności samej sprawy, której na imię wojna i wojsko?... Lub wreszcie wybuch pasji pod adresem rosyjskiego właśnie munduru?! Wszystkie te ewentualności trzeba brać w rachubę, o ile się zgłębi drogi, jakimi biegły życie i myśl człowieka, który się nam przedstawił jako Aleksander Rodionowicz Zagorski.

Reakcje mojego ojca na wprawiony w ramę okna obraz – ów żywy obraz ćwiczeń – jeżeli i odbiegały od reakcyj jego rozmówcy, to nie nazbyt chyba daleko. Obaj byli dziećmi {tej samej epoki historycznej}, wychowankami tych samych {nieomal} środowisk. Ale ojciec mój nie był człowiekiem buntu, względnie przestał nim być już dawno. Nie wykluczam {dzisiaj także} tego, że właściwy mu {być musiał} w {wysokim} stopniu ów typowo inteligentki, późnodziwiewnastowieczny relatywizm, nakazujący oznaki szacunku dla ideałów, przez siebie {wprawdzie} nie wyznawanych, lecz dla kogoś innego świętych. Mógł więc chcieć przeciwstawić – mniejsza {już} o to, z jakich pobudek – uśmiechowi wzgardy i gniewu uśmiech afirmacji {albo} przynajmniej wyrozumiałości dla tego, co się działo {za oknem} na łące. I choćby godzinami szukał, nie znalazłby stosowniejszego akompaniamentu do swego uśmiechu niż Horacjuszowe „*Dulce et decorum est pro patria mori*”<sup>15</sup>. Myślę, że to były owe pierwsze słowa, które od niechcenia jak gdyby wypowiedział po łacinie. Od dawna już nie żyje<sup>16</sup> i nigdy nie dowiem się od niego, czy tak właśnie było, jak przypuszczam.

Nie dowiem się też {nigdy}, czy w Berlinie, gdzie rodzice często nawracali w rozmowie do osoby naszego towarzysza podróży, zastanowiło się któreś z nich

<sup>15</sup> Tj. „Słodko i zaszczytnie jest umrzeć za ojczyznę”.

<sup>16</sup> Inżynier Bronisław Parnicki zmarł w Swierdłowsku 19 III 1928. Teodor Parnicki utracił bezpośredni kontakt z ojcem niebawem po zawarciu przezeń drugiego małżeństwa. Maria Michajłowna P a r n i c k a, macocha niechętna Teodorowi, doprowadziła do odesłania go do korpusu kadetów w Omsku, stacjonującego następnie we Władywostoku. Dwuletni pobyt w tamtejszej szkole (przeniesionej później na Russkij Ostrow na Pacyfiku) zakończył się ucieczką 12-letniego Teodora do Charbina w Mandżurii (lato 1920), gdzie spodziewał się spotkać ojca. Niestety, pogłoski mówiące o rzekomym pobycie Bronisława Parnickiego w Mandżurii okazały się nieprawdziwe. Teodorem zaopiekowała się polska kolonia w Charbinie, zwłaszcza orientalista, dyplomata i nauczyciel, wieloletni opiekun i mistrz późniejszego pisarza, Konstanty Symonolewicz (1884–1952).

nad istotnym sensem nagłego zblednięcia nauczyciela języków starożytnych natchmiasł po wygłoszeniu grzmiącej tyrady przeciw religiom. Wtedy, w pociągu, nie mogło być dwóch zdań, dlaczego {musiał} zblednąć Aleksander Rodionowicz Zagorski. Zresztą zblednięciu temu towarzyszył nowy wybuch wulkanu łaciny, na który mój ojciec odpowiedział mocnym, serdecznym uściśnięciem dłoni, choć i nie umiał zamaskować swego zdziwienia. {Dziwił się, że Smoleńsk, chociaż tak niewiele od Moskwy odległy, wciąż przecież jeszcze tak dalece przesycony jest konserwatyżmem, że nauczyciel gimnazjum może tam stracić posadę, o ile do kogoś w mieście dojdzie}, iż on się wrogo wyrażał o religii. Rzecz oczywista, że uściśnięciem dłoni ojciec wzmacniał ustną obietnicę dochowania najbezwzględniejszej dyskrecji. Ale gdyśmy przekroczyli granicę Rosji, nie można {już} było trwać {dłużej} w przekonaniu, że to strach przed utratą posady taką bladłością okrył twarz, sekundę temu tchnącą wyzwaniem i zaciętością. Ja się dziś domyślam, dlaczego naprawdę ta twarz tak zbladła. Ale czy domyślił się mój ojciec?... Czy też uszło to jego uwagi, choć – jak się później okazało – {bardzo} wiele się czego domyślał?!...

Bezsennie spędzona noc zrobiła swoje: zaledwie pociąg nasz zaczął oddalać się od dworca w Mińsku, zasnąłem, ukołysany turkotem kół, złożywszy głowę na kolanach matki. Obudziłem się w Brześciu, gdy zapadał już zmrok. Jąłem wołać, że muszę {koniecznie} zobaczyć twierdzę brzeską, o której istnieniu dowiedziałem się od ojca w przeddzień wyjazdu z Moskwy. Kiedy {zaś} ojciec pociągnął mnie przed okno i wskazał ręką na szare, {cementowe czy} betonowe, jakby {spod} ziemi wyrastające bloki, krzyknąłem, że mnie oszukują: przecież twierdza to jest czerwony, zębaty mur z wieżami na rogach, {okalający} zwartym pasem całe miasto!...

Znowu zasnąłem. Obudzono mnie dopiero w Warszawie. Dwoma dorożkami jechaliśmy przez ciemne, wyludnione miasto. Kopyta dorożkarskiego konia głośno dudniły po nierównym bruku, raz po raz krzesząc iskry z chropowatych, źle ociosanych kamieni. Ojciec, który dobrze znał miasto, rozpraszał moją senność wymienianiem nazw ulic i placów. Na drugim dworcu zastaliśmy spory ruch. Przy bufecie {od razu} wybuchł zatarg między stojącym za ladą młodzieńcem w białym kitlu a naszym towarzyszem podróży. Temu bowiem wydało się, że bufetowy nie dość grzecznie odpowiedział mojej matce, gdy zapytała, czyby nie można {było} dostać czarnego chleba. Przypominam sobie, jak rodzice później w wagonie interpretowali nieuprzejmość bufetowego jako patriotyczną demonstrację {zarówno} przeciw samemu towarzystwu, co przyjeżdża z Moskwy i mówi po rosyjsku, jak też i przeciw barbarzyńskim, iście wschodnim gustom tego towarzystwa, wyrażającym się w prośbie o czarny chleb zamiast białego. Co jednak jeszcze dokładniej sobie przypominam, to zdumienie wszystkich nas trojga, gdy się okazało, że nauczyciel gimnazjalny ze Smoleńska wcale biegle mówi po polsku.

– Czy pan jest Polakiem? – zapytał {mój} ojciec, nie maskując wcale, jak bardzo jest zaskoczony. – Pan przecież mówi lepiej ode mnie. Ja już tak dawno mieszkam poza krajem.

– Moja matka jest Polką – odpowiedział Aleksander Rodionowicz Zagorski i znowu zbladł, zupełnie tak samo, jak wówczas po wygłoszeniu grzmiącej tyrady przeciw religiom.

– On jest strasznie zdenerwowany, prawda? – szepnęła matka do ojca, nie tak cicho jednakże, ażeby mój ojciec nie usłyszał. Czy usłyszał {ją} też i sam pan Zagorski? Nie wiem. W każdym razie głowy od bufetu nie odwrócił. Pił już drugi

kieliszek wódki, nie ruszając wcale zakąski, jaką postawił przed nim {zirytowany} bufetowy. Wypiwszy, oddalił się szybko. Nie było go z dziesięć minut. W międzyczasie moja matka zdążyła nie tylko zauważyć, że właściwie do awantury z bufetowym nie było żadnego rozsądnego powodu, ale stwierdziwszy też, że nie doszłoby do awantury, gdyby Zagorski nie był tak zdenerwowany, zaczęła półgłosem dochodzić przyczyn zdenerwowania. {Ojciec słuchał w milczeniu, coś sobie pogwizdując pod wąsem.}

Wagon, którym mieliśmy dojechać do granicznej stacji Aleksandrowo, był prawie pusty. Po słabo oświetlonym korytarzu przechadzał się oficer żandarmerii. Raz po raz przystawał przed drzwiami naszego przedziału. Niewątpliwie to ja go zwabiałem swoimi głośnymi, pełnymi zachwyty uwagami o różnych szczegółach jego uniformu. Żandarm się uśmiechał do mnie, a mój ojciec do żandarma. Często stawał go papierosami i słodyczami; wszczął z nim rozmowę {o wojnie bałkańskiej i ani na sekundę jej nawet nie przerwał} wstając z miejsca i pociągając oficera spacerkiem w daleki koniec korytarza. Nieraz zastanawiałem się, dlaczego tak się zachowywał, aż przyszedłem do wniosku, że musiał lepiej niż moja matka i ja czytać w twarzy głęboko zaszytego w kącie przedziału Aleksandra Rodionowicza Zagorskiego. Pociąg ruszył, a ojciec nie wracał: {wciąż} jednakże słyszałem z daleka się donoszący, ani na chwilę nie milnący jego głos. Turkot kół znowu kołysał mnie do snu: zbudziłem się na rękach ojca; niósł mnie przez jakiś słabo oświetlony pokój stacyjny, pełny żandarmów. Na dobre obudził mnie dopiero gwar licznych głosów. Mówiono nie po rosyjsku i nie tylko po polsku. Obejrzałem się po nowym miejscu naszego pobytu. Był to przedział pełen ludzi; miejsc górnych nie dostrzegłem wcale, dolne {zaś} były twarde, kolor miały bladeżółty, a w ogóle przypominały ławki w parku. Wydało mi się, że pociąg jedzie znacznie prędzej niż tamten, z któregośmy się przesiedli. O ile ciągnęło mnie jeszcze do snu, całkowicie wytrzeźwiałem dojrzwawszy nagle w drzwiach bardzo wysoką postać, którą {natychmiast} zacząłem chłonać chciwymi a rozradowanymi oczyma: upajałem się nowością widoku. Pożerałem spojrzeniem i lśniący, kolczasty kask, i zielonkawo-błękitną pelerynę, i szerokie, kozackie jak gdyby lampasy na {granatowych} spodniach, nie wpuszczanych jednakże, jak u kozaków, w buty, ale spadających {koło kostek} na eleganckie trzewiki o niewiarygodnie pięknym połysku. Fascynująca postać przyłożyła {dłoń} do kasku, wymówiła dwa-trzy słowa, z których tylko wyraz „paszporty” był dla mnie zrozumiały – i natychmiast wyciągnęły się w jej stronę cztery ręce, z nich dwie: mego ojca i Aleksandra Rodionowicza Zagorskiego. Niebawem postać w kasku znikła, ale ja nie spuszczałem oczu z drzwi przedziału; {wyrastała już} w nich bowiem postać {nowa}. Miała na sobie ciemnoniebieski mundur, czerwone naramienniki i czerwony też otok na czapce, która {wyglądem} przypominała {nieco} kaszkiety rosyjskich oficerów, ale {jeszcze bardziej} czapki studenckie}. Napatrzywszy się do syta, zacząłem prześlizgiwać się wzrokiem po twarzach osób {tłoczących się} w przedziale: większość drzemała, między nimi nasz towarzysz podróży od Smoleńska. Pociąg niebawem stanął. W drzwiach znowu błysnął kolczasty kask. Ojciec spokojnie wsunął swój paszport do bocznej kieszeni marynarki. Ale drzemający Zagorski {nawet się wcale} nie poruszył. Postać w pelerynie, zerkając w paszport, {dość} głośno wymieniła jego nazwisko. Nie reagował.

– Herr Zagorski – podniósł głos posiadacz kolczastego kasku.

Efekt ten sam.

Zdziwione oczy powędrowały spod kasku ku paszportowi {znacznie bardziej uważnym niż poprzednio} spojrzeniem. Ale mój ojciec już dotykał palcami ramienia Zagorskiego; wskazywał mu oczyma postać w pelerynie. Ręka pana nauczyciela języków starożytnych nerwowym ruchem wyciągnęła się ku paszportowi: silnie {drżała}, nie od razu natrafiając na kieszonkę marynarki.

Postój w Toruniu miał trwać {około pół godziny}. Zeszliśmy z pociągu, kierując się w stronę obszernej, jasno oświetlonej sali restauracyjnej. Przy bufecie moja matka zaczęła zamawiać coś po niemiecku, lecz wnet przerwała sobie, zwracając się do naszego towarzysza podróży {z} zapytaniem, co by {on} właściwie miał ochotę zjeść. Nie skończyła pytania, imienia nawet nie zdążyła wymówić; pan Zagorski przerwał jej bowiem zdumiewającym powiedzeniem:

– Najpierw pani pozwoli, że się przedstawię.

Wchodząc do sali restauracyjnej, {moja} matka założyła cwikier, i to o specjalnych szklach dla dość {znacznie} odchylających się od normy dalekowszkie; może więc tak nie było naprawdę, może to tylko szkła sprawiły, ale wciąż mi podpowiada pamięć, że powinienem napisać, iż wtedy {matka} zrobiła, jak się to mówi, „wielkie oczy”.

W każdym razie w głosie jej na pewno rozbrzmiewało zdumienie, więcej, oszołomienie, gdy, siłąc się na {opanowanie}, wypowiedziała:

– Ale przecież pan już...

Znowu nie dokończyła. W osłupieniu wysłuchiwała słów prezentacji, którym towarzyszyło {tak} mocne uściśnięcie dłoni, jak gdyby była mężczyzną. Nie dziwi się temu jej osłupieniu. Ja sam chyba wcale nie mniej byłem oszołomiony, nowe {zupełnie} słysząc nazwisko: Nazariw. Iwan Aleksandrowicz Nazariw. Tylko mój ojciec zdawał się być ledwie co zdziwionym albo też i wcale. Uśmiechał się przyjaźnie, a trochę i pobłażliwie.

Ale z tej swojej pobłażliwości drobnej cząstki nie zdołał przelać w moją matkę, aż dopiero w Malmö, gdy od Zagorskiego-Nazariewa {już nas} oddzielały nie tylko dziesiątki i dziesiątki kilometrów szyn kolejowych, lecz też i solidny wcale szmat Bałtyku. W Berlinie natomiast, że nie wspomnę już wcale o Toruniu, była tak nieprzejednana, tak zacięta, tak żywej wciąż pełna urazy, iż jedyna wizyta, jaką Aleksander Rodionowicz, a raczej Iwan Aleksandrowicz złożył jej w stolicy Niemiec, utrwaliła się {na zawsze} w mojej pamięci jako przeżycie wcale nie mniej przykre niż późniejsze o dwa dni {moje} zgubienie się w kawiarni wielkiego domu towarowego Wertheima.

Bo muszę wyjaśnić, że ojciec spotykał się z Nazariwem, i to {nawet} parokrotnie, poza pensjonatem, gdzieśmy w Berlinie zamieszkali i gdzie Aleksander Rodionowicz, przepraszam – Iwan Aleksandrowicz, odwiedził nas raz tylko, a to na przeciąg czasu nie dłuższy, niż ojciec mój potrzebował na wypalenie jednego papierosa. Bo ojciec żywił wyraźną sympatię do tej z dnia na dzień coraz bardziej dla mnie tajemniczej istoty. Wciąż spierał się o Nazariwa z moją matką. Pamiętam, wyciągnięty na wiśniowym pluszu kanapy wsłuchiwałem się, udając śpiącego, we wcale podnieconymi {prowadzoną} głosami {długą} i chwilami dość ostrą rozmowę między moimi rodzicami.

– Właściwie to twoim obowiązkiem byłoby przestać nawet odpowiadać mu na ukłony – mówiła matka, szybkim, nerwowym krokiem przechadzając się pomie-

dzy stolikiem, ozdobionym wsuniętymi pod szkło widokami Drezna, a odrapaną nieco ścianą, na której między oknami wisiał obraz, stanowiący dla mnie {przedmiot} niespokojnych dociekań, nie mniej frapujący niż osoba Iwana Nazariewa.

– Dlaczegoż to? – wzruszając ramionami odparł ojciec, nie przerywając sobie roboty. Strugał dla mnie kolorowe ołówki. – Przystaję kłaniać się – dodał po chwili odkładając na bok zaostrzony ołówek czerwony, a biorąc się do fioletowego – tym tylko, do których tracę szacunek, a jeśli chodzi o Nazariewa...

– Jeśli chodzi o Nazariewa – opryskliwie przerwała matka – mógłbyś stracić własne dziecko... a raczej dziecko straciłoby ojca, a może i matkę. Bo gdyby go żandarmeria zdemaskowała, mogłaby też i nas oboje aresztować...

– Za co? – zapytał ojciec, {może} ironicznym, ale najprawdopodobniej to chyba przekornym i rozbawionym tylko tonem.

– Za co? Za co?... Nie udawaj, że nie rozumiesz... Mogliby dopatrywać się w nas współuczestników całej afery... albo posądzać o to, że znamy go {od dawna...}, żeśmy mu dopomogli... A zresztą mogliby potraktować jako przestępstwo już to samo, żeśmy podejrzewając, nie ostrzegli władz...

Początkowo rozmowie tej nie tylko się przysłuchiwałem, ale też i przyglądałem się ukradkiem, a to poprzez szpary między palcami ręki, niby bezwładnie opadłej w czasie snu na czoło i oczy. Ale zaniepokojony coraz to większą ruchliwością spojrzeń ojca, musiałem zacisnąć powieki jak najsilniej, a rękę odrzucić, również gestem bezwładu, możliwie najdalej od twarzy. Nie mam więc prawa powiedzieć, że po wyżej przytoczonych przeze mnie ostatnich słowach matki spojrzenie mego ojca nabrało wyrazu żalu i wyrzutu. Ale myślę, że tak właśnie było, bo czyż nie żal, nie wyrzut brzmiały w jego głosie, gdy pytał:

– Więc mielibyśmy się stać donosicielami?!

– Gdyby w grę wchodziło zagrożenie {spokoju} naszego dziecka – tak! – namiętnie odpowiedziała moja matka.

Dłuższą chwilę trwało milczenie. Począłem się nudzić i już-już przystąpić miałem do rozegrania komedii przebudzenia, gdy wreszcie znowu rozległ się głos ojca:

– Więc tyś go podejrzewała?...

– Ja nie, ale przecież to ty powiedziałeś, żeś się wielu rzeczy domyślał... Zaraz ci przypomnę, kiedyś to powiedział... Wtedy, jakieś krajał salami w plasterki w czasie postoju w Bydgoszczy. Ale może wreszcie będziesz łaskaw mi powiedzieć, kim on właściwie jest, ten tak ci sympatyczny fałszerz paszportów... Bo na pewno nie nauczycielem języków starożytnych w smoleńskim gimnazjum...

Skłamałbym, gdybym napisał, że w całości zdołałem zapamiętać tę najciekawszą część pełnej podniecenia rozmowy, której się przysłuchiwałem udając śpiącego. Niepodobiestwem było dla mnie pięcioletniego zrozumieć całą tę rozmowę, a cóż dopiero zapamiętać ją dokładnie aż po dzień dzisiejszy! Ale coś niecoś i rozumiałem, i zapamiętałem. A więc to przede wszystkim, że Iwan Nazariew nie był, oczywiście, nauczycielem gimnazjalnym. Czym był naprawdę, dlaczego tak dobrze znał łacinę – tego nawet dziś jeszcze nie umiem sobie zupełnie jasno wytłumaczyć. Wprawdzie stworzyłem sobie pewną koncepcję, ale zastrzegam się, że wcale nie jestem w stu procentach pewien jej słuszności, przeciwnie, często przypuszczam, iż gonię po fałszywym tropie. Podstawę tej mojej koncepcji stanowi następujące powiedzenie ojca, które zapamiętałem sobie szczególnie dobrze:

– On wcale nie ma brata w Charkowie; na przemyśle i technice zna się, ponieważ, tak jak i przypuszczałem pierwotnie – prawie jest inżynierem, choć i nie dostał dyplomu. Praktykował w Essen i w Chemnitz. Ale rzucił politechnikę, kręcił się w Petersburgu przy Zielińskim.

Otóż fakt porzucenia przez Iwana Nazariewa politechniki, jak również i nazwisko znakomitego znawcy antyku, Zielińskiego – nazwisko, które wówczas usłyszałem po raz pierwszy w życiu: dość wcześnie, prawda? – stały się palami wbitymi w morze tajemnic – palami, na których wzniosłem kruchy gmach swojej koncepcji. Przy Zielińskim można było istotnie zapalić się do naprawdę głębokiego wgrzyzenia się w języki starożytne; to zaś, że młody student, {i to wcale zaawansowany}, porzucił jedną uczelnię, ażeby się przenieść na drugą – mogło powodować jeszcze większe oswajanie się z greką i łaciną, {jako że} rozgniewani {niezrozumiałym} wybrykiem {syna} rodzice mogli odmówić mu dalszej pomocy materialnej na studia, co go zmuszało do utrzymywania się z własnej pracy, prawdopodobnie z lekcyj prywatnych właśnie łaciny i greki. Ale dlaczego, nieomal mając już dyplom w kieszeni, porzucił politechnikę i poświęcił się studiom tak dalece odmiennym?... Na to też mam odpowiedź: zawiera się w słowach ojca: „kręcił się przy Zielińskim”. Właśnie: kręcił się. Ojca mojego pamiętam jako człowieka ogromnie rozmiłowanego w logicznym, precyzyjnym formułowaniu własnych myśli. Iwan Nazariew „kręcił się” przy profesorach i studentach filologii klasycznej najwidoczniej w jakimś bardzo konkretnym celu, dość dalekim od idei służenia czystej nauce. W celu najprawdopodobniej nie innym niż ten sam, który go zaprowadził na dwa blisko lata do Kielc pomiędzy Polaków. Z dalszych bowiem, podsłuchanych przeze mnie, słów mego ojca niezbitnie wynikało, że Nazariew skłamał tłumacząc swoją dobrą znajomość języka polskiego tym, jakoby jego matka była Polką. Wcale nie była; poznałem ją później: była córką adwokata z Saratowa nad Wołgą. Nie, Iwan Nazariew, czystej krwi Rosjanin, nauczył się mówić po polsku już jako młodzieniec dwudziestoletni, pełniąc służbę wojskową w pułku kawalerii stacjonującym w Kielcach. Ojciec mój napomknął wprawdzie, że Nazariew, gdyby chciał, łatwo mógłby się wykręcić od służby wojskowej – ale on nie tylko tego nie chciał, przeciwnie, bardzo się napierał, ażeby do wojska iść. Czyżby tak {go} pociągały wojaczka i mundur?... Gdyby tak było, w drzazgi rozbijałaby się cała moja teoria o uśmiechu wzgardy i gniewu, z jakim Iwan Nazariew przyglądał {się} przez okno wagonu ćwiczeniom żołnierzy opodal Mińska. Oczywiście, można by też i te sprzeczności jakoś sztukować, dowodząc, że ów gniew i wzgarda to owoc wieku dojrzałego... owoc doświadczenia, nabytego właśnie w realnym zetknięciu się ze służbą w wojsku rosyjskim, która wyobraźni młodzieńczej przedstawiała się początkowo jako coś niezwykle ponętne. Ale sztukowanie takie wydaje mi się całkowicie zbyteczne. Tajemnicze pobudki, jakie skłoniły Iwana Nazariewa i do porzucenia politechniki, aby „kręcić się przy Zielińskim”, i do nieuchylania się od służby wojskowej – dużo tracą ze swej tajemniczości, o ile przeciągnię się nic związku logicznego między tymi {zagadkowymi} pobudkami a interesującym zgromadzeniem, na {jakie} ojciec mnie zaprowadził ostatniego dnia naszego pobytu w Berlinie, zaraz po {defiladzie} wojskowej, którą odbierał sam cesarz Wilhelm Drugi. Przeciągnięcie owej nici jest dla mnie tym łatwiejsze, że dobrze sobie zapamiętałem początkowy fragment dialogu, jaki wywiązał się [między] moimi rodzicami po pierwszej a zarazem ostatniej wizycie Nazariewa u nas w pensjona-



cie. {Zaledwie} zamknęły się za nim drzwi, matka moja, tonem wybitnie niezwykłym i znowóż namiętym prawie, zapytała pogwizdującego sobie coś pod wąsem {mojego} ojca:

– A to może on rzucił tę bombę w Kijowie?!... Pamiętasz, słyszeliśmy wybuch i widzieliśmy wielki słup dymu, jakeśmy wracali {do} babci dorożką od lekarza, co ci szczepił ospę?...

Druga połowa pytania skierowana była do mnie. Istotnie, po dziś dzień pamiętam to wydarzenie: detonację i wielki słup dymu. Było to na parę miesięcy przed naszym wyjazdem do Szwecji.

Oczywiście z jak największym pośpiechem potwierdziłem słowa matki, ale nie dane mi było rozkoszować się efektem swojego wystąpienia, nacechowanego całą napuszoną dostojaścią, jaka przystoi osobie powoływanej na arbitra do rozstrzygnięcia sprawy wielkiej wagi. Uwagę bowiem mojej matki odwróciła ode mnie obszerna, a widocznie bardzo ją zajmująca odpowiedź ojca. Absolutnie nic nie utrzymało się w mojej pamięci z tego wcale długiego, a pasjonującego oboje rodziców wywodu. Zresztą, nie mogło się utrwalić, bo wywód ów był na pewno niedostępny całkowicie dla mojego dziecięcego umysłu. Jedynie to, że ojciec zaczął go od przeczącego potrząśnięcia głową, pozwala mi sądzić, że nie godził się z domysłem matki, jakoby to właśnie Nazariw mógł rzucić bombę w Kijowie.

Wydaje mi się jednakże dzisiaj, iż gdybym wsłuchiwał się w wywód ojca z większym napięciem swych władz umysłowych – może bym przecież cokolwiek zrozumiał, a kto wie, czy i nie zapamiętałbym nawet coś niecoś. Ale – przyznam się – nie słuchałem uważnie. Po pierwsze dlatego, iż się czułem dotknięty owym odwróceniem uwagi od mojej osoby, dopiero co przyobleczony w całą powagę godności arbitra. Po drugie zaś myśl moja co chwila narzucała natarczywie swe towarzystwo moim spojrzeniom w ich raz po razie podejmowanej wędrownie ku obrazowi wiszącemu na odrapanej nieco ścianie pomiędzy oknami. Wspomniałem już poprzednio o tym obrazie. Nie dawał mi spokoju od pierwszej chwili, jakeśmy się tylko sprowadzili do pensjonatu. Moja matka zrazu domagała się, aby obraz usunięto z pokoju; obawiała się {prawdopodobnie}, że przedstawiona na nim z wielką ekspresją naga ludzka czaszka będzie boleśnie szarpała moje nerwy; zdaje się, że miała rację. Ale ojciec stanowczo się sprzeciwił: „Niech się przyzwyczaja do dzieł sztuki”, orzekł z pogodnym uśmiechem, a zwracając się bezpośrednio do mnie, dodał: „Na pewno byś się wstydził bać tej czaszki – przecież to tylko rysunek. Jesteś już duży chłopak, prawda? – a chłopcy nigdy się nie boją rysunków. Nie patrz na czaszkę, patrz na ładną twarz tej kobiety”.

I obraz pozostał. Ale ja właśnie patrzyłem wciąż na czaszkę, nie na {bardzo} ładną istotnie twarz rozciągniętej na ziemi blondynki. Raz po raz przyrzekałem sobie, że już więcej nie spojrzę. Patrzyłem. Co prawda, od czasu do czasu istotnie robiłem zgodnie z radą ojca potężne wysiłki, aby patrzeć na kobietę, nie na czaszkę – ale i wtedy niepokój mój nie mijał. Przeciwnie, z nowego wytryskiwał źródła. Źródłem owym był szczegół obrazu nie przyprawiający wprawdzie o trwogę, ale o duży wcale zamęt w moich pojęciach. Parokrotnie usiłowałem prosić rodziców o pomoc w uporządkowaniu {owego} zamętu, ale {nastąpiło to} dopiero w czasie wizyty Nazariewa. Jego rozmowa z moją matką męczyła mnie i trwożyła; nie rozumiałem treści, ale wyczuwałem niewypowiedziane silne rozdrażnienie w każdej z replik, jakie między sobą wymieniali. Ton, jakim mówiła matka, stawał się

z każdym słowem coraz to bardziej nerwowo, a zarazem zgryźliwy; ton Nazariewa coraz to bardziej ostry i prawie niegrzeczny. Nie mogłem już dłużej tego wytrzymać, więc wdarłem się pomiędzy krzyżujące się ich głosy natarczywie domagającym się natychmiastowej odpowiedzi pytaniem:

– Mamo, dlaczego ta kobieta na obrazie jest bosa? Przecież to nieprzyzwoicie!

– Nieprzyzwoicie?! – zawołał Nazariew, skierowując ku mnie pełen zdumienia wzrok i wnet przenosząc go na twarz mojej matki. Ona zaś powiedziała bardzo ostro i z naciskiem na każdym słowie:

– A tak, nieprzyzwoicie. Ale ona to umyślnie zrobiła. Chce, żeby się ludzie z niej śmiali.

Odpowiedzią tą matka zwiększyła tylko panujący w mej głowie zamęt. Obsypałem też ją natychmiast istną ulewą błyskawicznie wyrzucanych z siebie nowych pytań. Że było ich dużo – dobrze to pamiętam, ale treść jednego tylko z nich przypominam sobie {dokładnie} jeszcze dzisiaj. Dotyczyło ono {rewelacyjnego} odkrycia, że ktoś może chcieć, ażeby ludzie się z niego śmiali.

– Ona pokutuje – zaczął tłumaczyć mój ojciec, niemal zaś równocześnie z ust Nazariewa padło nowe zupełnie dla mnie połączenie dobrze znanego imienia „Maria” z {niezrozumiałym} słowem „magdalena”.

– Któż to jest Maria Magdalena? Co to znaczy: pokutuje? Czy boso się chodzi tylko wtedy, jak się pokutuje?... Wszystkie dzieci pokutują, a czy ja {też} nie muszę? – oto pytania, których nowa seria gotowa była ciągnąć się nie wiedzieć jak długo, gdyby matka moja nie {zatomowała potoku} stanowczym a ostrym powiedzeniem:

– Jak będziesz duży, to się dowiesz.

Zaraz zaś po tych słowach usłyszałem inne: wypowiedziane przez {Iwana} Nazariewa. Nie, nie pomyliłem kolejności: tak właśnie było. Iwan Nazariew podniósł rękę, wskazał dwoma dość szeroko rozstawionymi palcami na obraz i powiedział, widocznie nawiązując {ponownie} do przerwanej przeze mnie toku rozmowy:

– Widzi pani, gdyby „to” było prawdą, {wówczas} może... kto wie? może nie byłbym tym, kim dziś jestem... Ale „to” nie jest prawdą... Stanowczo nie jest...

Owo „to”, co nie jest, stanowczo nie jest dla Nazariewa prawdą – oba razy wypowiedziane ze szczególnym naciskiem – niewątpliwie miało jakiś związek z treścią obrazu. Oczywiście nie mogłem wówczas wiedzieć, jaki. Ale w dwadzieścia sześć lat później w Rzymie przypomniałem Nazarielowi te właśnie jego słowa. Nie wyparł się ich, przeciwnie: całkowitą przyznał rację mojej pamięci.

Istne to szczęście, że w podróż {rodzice moi} nie wzięli z sobą naszej służącej. Stokrotnie byłaby zwiększyła zamęt w mojej głowie, a niewątpliwie też poważnie by się przyczyniła do jeszcze boleśniejszego nadszarpnięcia moich nerwów: gotów jestem przysiąc, że gdyby była wówczas z nami w Berlinie, zamęczałaby mnie i moją matkę szeptami, że to czaszka z obrazu, rzucając na mnie zły urok, spowodowała moje zgubienie się w kawiarni u Wertheima.

W rzeczywistości zaś powodem zgubienia się była wcale {głęboko} we mnie już zakorzeniona wiara, że ciastka z rąk obcych ludzi to albo trucizna, albo środek nasenny. Nazajutrz po wizycie Nazariewa całe przedpołudnie męczyłem matkę, ażeby mi kupiła kolczasty kask, taki sam, jakie widziałem na głowach żołnierzy, co, ubrani w granatowe mundury z czerwonymi kołnierzami i naramiennikami, co rano

przewijali się z muzyką pod oknami naszego pensjonatu. Matka nie opierała się zbyt-  
nio moim naleganiom i po południu wybraliśmy się do Wertheima. Ciekawe, że  
matka chciała iść zaraz po obiedzie, ale ojciec przewlekał ze dwie jeszcze godziny.  
Teraz uświadamiam sobie, dlaczego: umówił się z Nazariem w kawiarni u Wert-  
heima. Tak też manewrował, ażeby matka poszła sobie kupować kapelusz właśnie  
wtedy, gdy postanowiono, że dla mnie czas już się czegoś napić. Szedłem więc do  
kawiarni tylko z ojcem. Szedłem w bardzo zgnębionym nastroju: dostałem tylko  
szablę, nie zaś przyrzeczony kask, nie awanturowałem się jednakże, bo byłem po-  
rządnie nastraszony uwagą matki, że jak Szwedzi znajdą w naszych bagażach nie-  
miecki wojskowy kask, to nas wszystkich {troje} zaaresztują. Zgnębienie przecież  
odbierało mi apetyt, a co więcej, powodowało całkowitą na wszystko {obojętność}:  
ojciec aż był zdumiony, jak spokojnie przyjąłem, wbrew swoim nawykom, perspek-  
tywę rozstania się z nim na całych pięć minut i siedzenia {samotnie} przy stoliku  
w oczekiwaniu na zamówioną czekoladę. Ojciec bowiem zamierzał stanąć w kolej-  
ce po piwo, którego do stolików nie podawano. Odchodził mocno pokrzepiony na  
duchu moim niezwykle spokojnym zachowaniem się. Ale {niebawem} okazało się,  
że są {przeżycia} przykrzejsze niż niespełnienie się marzeń o kasku. Na przykład  
gruba starsza pani, siadająca naprzeciw mnie przy tym samym stoliku. Od razu za-  
cząłem niespokojnie się kręcić na krześle. Nie tknąłem przyniesionej właśnie czeko-  
lady. Gdy zaś gruba starsza pani posunęła talerzyk z {ciastkiem} w moją, {jak mi się  
zdało}, stronę – ogarnął {mnie} paniczny strach: ona chce otruć mnie lub uspić!  
Zerwałem się z krzesła, omalże nie wywracając stolika – jak opętany {biegałem} po  
całej kawiarni, trzęsąc się na całym ciele i nie odpowiadając na zadawane mi przez  
obcych ludzi pytania. Ale rozplakałem się dopiero zobaczywszy ojca. Szedł ku mnie,  
prawie biegł, blady przeraźliwie: wracał od stolika, przy którym mnie nie znalazł...  
Nieco w tyle za nim kroczył Nazariem, niosąc dwie duże szklanki z piwem; jedna  
z nich była opróżniona do połowy: prawdopodobnie ojciec mój w zdenerwowaniu  
wylał sporo {zawartości swej} szklanki na podłogę... Długo nie mogłem się uspoko-  
ić; dopiero słowa Nazariewa o jakimś zgromadzeniu, gdzie będą też dwaj Chińczy-  
cy i Murzyn, otarły mi resztę łez, i to znacznie gruntowniej niż trzy chusteczki...  
Zacząłem wołać, że {koniecznie} muszę zobaczyć Chińczyków i Murzyna; słysząc,  
jak Nazariem namawia mego ojca, ażeby wybrał się na to zgromadzenie, zapalczy-  
wie poparłem jego namowy, dodając jednakże warunek, że ojciec {stanowczo} musi  
wziąć mnie z sobą.

– A cóż to szkodzi, jeżeli pan go z sobą weźmie?! – z kolei poparł mnie Na-  
zariem.

Ojciec przystał; być może dlatego, że niczego nie był w stanie odmówić mi  
w owej chwili; tak był przerażony moim zniknięciem i tak uszczęśliwiony odnalez-  
eniem.

Przez całą resztę dnia, a i następnego też ranka nie pamiętałem o bliskim  
sąsiedztwie bosej Marii Magdaleny i strasznej nagiej czaszki. Wszystkimi swy-  
mi myślami byłem przy Chińczykach i Murzynie. Ale niewiele brakowało, aże-  
bym wówczas wcale ich nie zobaczył. Wybierając się ze mną na defiladę z udziałem  
cesarza, zapowiedział ojciec matce, ażeby nie spodziewała się nas przed  
piątą. Zapowiedź ta natychmiast zaalarmowała w matce czujność i podejrzliwość.  
Nie zgadzała się na rozłąkę aż do piątej, twierdziła, że defilada nie może trwać  
dłużej niż dwie–trzy godziny. Ojciec mój nie okłamywał swojej żony nigdy. Przy-

najmniej swojej pierwszej żony. A {później też} i macosze mojej, jeżeli czasami mówił co innego niż tylko prawdę, to wyłącznie wówczas, gdy chodziło o obronę interesów syna, któremu mocno się dawało we znaki drugie małżeństwo ojca.

Ale wówczas, w Berlinie, przywiązanie {mego} ojca do zasad prawdomównościomalże nie zniweczyło nadzwyczajnej dla mnie okazji zobaczenia na własne oczy Murzyna i aż dwóch Chińczyków... Matka namiętnie się przeciwstawiała nie tylko zabraniu mnie, ale i samemu pójściu ojca. Starcie było groźne i długie. Już-już wybuchałem płaczem, ale właśnie zwyciężył, na szczęście, ojciec: całując matkę po rękach i we włosy, pełnym powagi tonem oświadczył, że nie może nie dotrzymać uroczystego słowa, danego w tak doniosłej chwili, jak szczęśliwe znalezienie syna po zgubieniu się w kawiarni... Matka ustąpiła, ale wyraźnie {na przekór} najgłębszemu swemu przekonaniu. Niby ostatni, bardzo daleki już grzmot kończącej się burzy rozlegała się w jej głosie cicha, zanikająca gorycz, {kiedy} pytała, biorąc ojca za rękę:

– Ale ty sam po co tam właściwie idziesz? Przecie ciebie z nimi nic nie łączy...

Całując ją ponownie we włosy, ojciec odpowiedział słowami zupełnie dla mnie niezrozumiałymi. Wydało mi się wtedy, że znowu mówi po łacinie. Jeżeli tak było istotnie, skłonny jestem dziś sądzić, że nie powiedział nic innego jak tylko „*Nihil humanum mihi alienum esse puto*”<sup>17</sup>.

W bramie domu, gdzie zobaczyć miałem Murzyna i Chińczyków, czekał na nas Iwan Aleksandrowicz Nazariew. Gdzieś {opodal uderzono} w dzwony na wieży kościelnej. Nie podobało mi się {owo} dzwonicie; ani go przyrównać do {tego, co się rozlega} pod kopułami cerkwi moskiewskich. Ojciec przyznawał mi rację; Nazariew jednakże oświadczył, że woli głos berlińskich dzwonów. Po latach zmienił to zdanie.

Jakiś szccepty młodzieniec bez brody dość podejrzliwie przyglądał się mojemu ojcu i mnie, gdyśmy wchodzili na zastawioną krzesłami niewielką salę, gdzie miało się odbyć zgromadzenie. Nazariew coś mu tłumaczył długo a cierpliwie. Nareszcie zajęliśmy miejsca. Od razu zacząłem szukać oczyma żywych magnesów, co mię na tę salę przywabily. Murzyna rozpoznałem natychmiast i długo nie odrywałem od niego oczu. Zrobił mi poważny zawód: myślałem, że będzie całkiem nagi, z rącznikami tylko na biodrach; tymczasem nie różnił się wcale ubiorem od reszty zebranych. Ale większy jeszcze zawód zrobili mi obaj Chińczycy. Długo nie mogłem ich zidentyfikować, przebiegając chciwymi oczyma {natłoczona} salę. Gdy zaś ojciec mi wskazał ledwie dostrzegalnym ruchem ręki dwie elegancko uczesane głowy, krzyknąłem na cały głos po rosyjsku:

– A dlaczego oni nie mają warkoczy?!

Krzykiem tym ściągnąłem ku sobie oczywiście spojrzenia wszystkich obecnych. Przeważnie uśmiechano się do mnie przyjaźnie; dwie zaś czy trzy osoby roześmiały się głośno – najwidoczniej byli to Rosjanie, którzy zrozumieli, co wykrzyknąłem. Ale dostrzegłem też i utkwione w sobie oczy wcale się nie uśmiechające; ten i ów z obecnych irytował się, że przeszkadzam brodatemu małemu panu, prawie karzełkowi, który właśnie {zaczynał} coś mówić spoza {zawalonego papierami} stołu. Ojciec szeptem upomniął mnie, ażebym zachowywał się cicho, bo

<sup>17</sup> Tj. „Nic, co ludzkie, nie jest mi obce”. Zob. Terentius, *Heautontimorumenos*, II, 25: „*Homo sum, humani nihil alienum a me esse puto*”.

inaczej zaraz wyjdziemy. Zdawał się wsłuchiwać bardzo uważnie w słowa brodatego karzełka. Nie zapominał przecież o tym, ażeby rozerwać mię od czasu do czasu. Wskazywał wzrokiem na coraz to kogoś innego wśród obecnych i szeptał:

– Patrz, to Hiszpan... A to Grek... A tamten łysy to Holender...

Powtarzałem za nim, również szeptem, każdą z wymienionych nazw narodów; przy każdym zaś powtórzeniu zaginałem jeden palec: chciałem koniecznie zapamiętać, przedstawiciele ilu narodowości widziałem tego dnia – wcale pokazną ich liczbą zamierzałem pochwalić się przed matką. Zająty powtarzaniem i liczeniem, nie zainteresowałem się faktem wyjścia karzełka spoza stołu ani też oklaskami, które nagle rozległy się w sali. Dopiero dźwięk głosu Nazariewa przeniósł moje spojrzenie od własnych palców ku stołowi. Naszego towarzysza podróży słuchano bardzo uważnie, uważniej niż poprzedniego mówcę. Ale nagle ktoś siedzący o jakieś dwa rzędy w tyle za nami przerwał Nazarielowi: krzyknął {do niego coś}, czego oczywiście nie rozumiałem, już dlatego {chociażby}, że to było po niemiecku. Krzyknął dość gwałtownie i tak samo gwałtownie, choć znacznie cichszym głosem, odpowiedział mu Nazariew. Przez salę przeszedł szmer pomruków. Zgromadzone towarzystwo coraz bardziej się ożywiało. Przemówienie przekształciło się w dialog, w gorącą dyskusję, w której coraz to więcej głosów brało udział. Tak wyglądało, jak gdyby Nazariewa atakowano z wielu naraz stron. Bronił się widocznie {bardzo} zacięcie: zapalał się coraz bardziej. Jego oponenti również. Zaczynało bawić mnie to wszystko. Prosiłem ojca, ażeby mi wytłumaczył, o co chodzi; ale nawet mi nie odpowiadał, wyraźnie zaintrygowany ogromnie tym, co się działo na sali. Starłem się coraz uważniej wsłuchiwać w to, co się mówiło: miałem nadzieję, że coś przecież zrozumie. Ale wysiłki moje były daremne: jedyne, co udało mi się wyłowić z niezrozumiałego potoku ścierających się ze sobą słów, a wyłowiwszy zapamiętać {aż} po dziś dzień – to były powtarzane często przez wszystkich mówiących dwa nazwiska, których rosyjskie brzmienie bardzo dokładnie odcinało się w mojej świadomości od całej reszty tego, co mówiono. Jedno z tych nazwisk – szczególnie często, a z uporem jak gdyby powtarzane przez Nazariewa – brzmiało: Plechanow<sup>18</sup>. Gdy je wymawiał, rozjaśniała mu się twarz, a ręce poczynaly robić spokojne a pełne dostojności gesty, które bym dziś nazwał gestami triumfu. Natomiast drugie nazwisko, o rosyjskim brzmieniu „Lenin”, wywoływało za każdym razem na twarzy Nazariewa taki sam uśmiech wzgardy i gniewu, z jakim patrzył przez okno wagonu na ćwiczenia żołnierzy pod Mińskiem. Ręce zaś jego, gdy wymawiał to nazwisko lub słyszał, jak wymawia je kto inny – zaciskały się w pięści, a parokrotnie nawet uderzyły w stół. Przyglądałem się w takich chwilach Nazarielowi spojrzeniem wcale nie mniej chciwym niż poprzednio Murzynowi i Chińczykom. Wcale nieźle się zabawiałem.

Nie dziwię się sobie, że {nieomylnie} pamiętam, iż to wówczas {właśnie} po raz pierwszy w {moim} życiu obity {mi} się o uszy te dwa nazwiska. Sprawilo to {przede wszystkim} ich rosyjskie brzmienie. Zresztą, z {tamtego} okresu swego życia więcej zapamiętałem po dziś dzień nazwisk, na przykład nazwisk kolegów

<sup>18</sup> Georgij Plechanow (1856–1918), czołowy teoretyk i propagator marksizmu w Rosji; od 1903 r. związany z frakcją mieńszewicką w rosyjskiej socjaldemokracji; z emigracji w Szwajcarii powrócił do Rosji tuż po rewolucji lutowej; aktywnie popierał działania Rządu Tymczasowego; był przeciwnikiem rewolucji październikowej.

biurowych mojego ojca – Pejrosa, co w rok później przeprowadził się do kamienicy, gdzie myśmy mieszkali w Moskwie, o jedno tylko piętro wyżej; albo {wysokiego} Koleśnikowa, który kiedyś w dniu moich urodzin {przyszedł} do nas z czekoladowym tortem...

Temu natomiast się dziwię, że pamiętam, iż także wówczas właśnie po raz pierwszy zakolała w {mojej} świadomości dziwne słowo „rewolucja”. Widocznie musiano powtarzać je w czasie tamtego zgromadzenia znacznie częściej niż jakiegokolwiek inne. Szczególnie często rozbrzmiewało ono w ustach Nazariewa. A rozbrzmiewało niejednakowo: parę razy wymówił je tonem zachwytu, ale niejednym też raz tonem gniewu albo szyderstwa. Utkwiło mi to słowo głęboko w pamięci; nabrało zaś charakteru tajemniczości niepokojącej, aż strasznej, gdy {wieczorem, już w pociągu,} matka w odpowiedzi na moje pytanie „Co to jest rewolucja?” zawołała, ale tak groźnie, jak rzadko kiedy:

– Nie śmieję o tym myśleć. Jak będziesz duży, to się dowiesz.

Ale ja myślałem. {Zagadkowe} słowo „rewolucja” osnawało w moich myślach postać Iwana Nazariewa atmosferą coraz to większej z {każdą chwilą} tajemniczości. Pożegnał nas na {którymś} z dworców {berlińskich} w nocy, {kiedyśmy} wsiadali do pociągu, mającego przez Szczecin, a potem przez morze „w brzuchu okrętu” zawieźć {nas} do Szwecji – ale gdy pociąg ruszył i przyciemniono światło w przedziałach i na korytarzach, nie śmiałem {rzucić okiem poza oszklone} drzwi przedziału, bo byłem pewien, że zobaczę za szkłem twarz {Iwana} Nazariewa. A nie chciałem go zobaczyć, bałem się go zobaczyć. Był związany z czymś takim, o czym mi nawet myśleć {zakazano}, a więc z czymś bardzo chyba strasznym. Może z czymś straszniejszym nawet niż naga czaszka i niesamowita sprawa pokutowania, która zmusza ludzi do takiej nieprzyzwoitości, jak chodzenie boso. Nawet jeszcze w Eskilstuna, gdyśmy wsiadali, również w nocy, do auta, {które} nas miało z dworca zawieźć do hotelu – z trwogą przypatrywałem się twarzy mężczyzny siedzącego przy kierownicy: czy to nie jest Iwan Nazariew? czy on nie chce nas porwać i zawieźć do tej „rewolucji”? Coś bardzo niesamowitego bowiem tkwiło dla mnie w samym fakcie, że się pojedzie autem, nie konną dorożką. W Moskwie widywałem {auta} dwa, najwyżej trzy razy do roku. Trudno mi było uwierzyć, że można tak po prostu, jadąc do hotelu, {zamówić sobie} przed dworzec takie dziwo, jak samochód.

Ale kierowca samochodu {nie okazał} się, na szczęście, Iwanem Nazariewem. W czyściutkim pokoju hotelowym zasypiałem, przytulony do ramienia matki, z błogą {nadzieją}, że tego tajemniczego człowieka nie zobaczę {chyba już} więcej nigdy.

– Prawda, mamo, że nigdy? – mruknąłem wsuwając głowę pod obszyty świeżutkim prześcieradłem koc. Wątpię dziś, czy matka zrozumiała, o co mi chodziło; ale wówczas byłem {przekonany}, że tak. Więc też gorące {jej} zapewnienie, że „oczywiście nigdy”, przepełniło mnie {najwyższym możliwym do osiągnięcia} poczuciem szczęśliwości. Bo dopiero słysząc jej odpowiedź, wiedziałem, że to naprawdę: nigdy.

## Spotkanie drugie

Park Uszakowski w Ufie wydałby mi się zapewne dość nędznym ogródkiem, gdyby dane mi było spojrzeć na niego oczyma mającymi za sobą wcale

pokażny już dorobek w przekazywaniu pamięci {intensywnych} wrażeń wzrokowych, jakich pod dostatkiem dostarczały mi {wspaniałe} parki Lwowa, Kairu, Bejrutu, Aten, Londynu, Oksfordu i Meksyku. Ale Park Uszakowski był parkiem moich lat chłopięcych i to go {umiejscowiło} {w moich wspomnieniach} całkowicie poza zasięgiem wszelkich wyrozumowanych przewartościowań: jaki był, taki był, a zawsze z jednakową będę go wspominał czułością. Tyle lat [...] <sup>19</sup>.

[...] stary ich ojciec {tak} walecznie bronił przed Francuzami i Huronami <sup>20</sup> Montcalma <sup>21</sup>.

Wyschnięta wiecznie sadzawka nie była jednakże najwcześniejszą moją miłością, jeżeli chodzi o zakątki, gdzie się {zgromadzali} moi przyjaciele, wywoływani z kart każdej kolejno przeczytanej książki. Biały jeleni {z baśni} Grimmów, zwycięzca czarnego tura, zwykł był przeobrażać się w pięknego księcia {nigdzie indziej, jak tylko} na wąskiej ścieżce {długo wijącej się} między {gęstymi} krzakami agrestu, a wyprostowującej się dopiero przed schodkami {drewnianego} ganku, {z którego wysokości} dziewczęta o niskich czołach i płaskich nosach świętokradczo kalają tak {gorąco czczony przeze} mnie baśniowy szlak czarów, polewając go pomyjami i zaśmiecając odpadkami jedzenia, w obfitości wracającego z werandy mleczarni do wielkiej a brudnej, rojącej się od kotów i karaluchów kuchni. Ta obfitość odpadków tylko początkowo {zdumiewała mnie i moich rodziców}. W Ufie bowiem jedzenia było w bród, nawet w trzecim jeszcze roku wojny. A jak tanie było to jedzenie!... Ojciec mój zarabiał w Ufie trzecią zaledwie część tego, co poprzednio w Moskwie, jadało się tu jednak lepiej niż tam. Ale na jedzeniu też się i wyczerpywały {już} wszystkie plusy, jakimi {pobyt} w czasie wojny w Ufie mógłby górować nad życiem w Moskwie: taniość i obfitość masła, mięsa, jaj, jarzyn i owoców, choć i przyjemną bardzo stanowiły niespodziankę, nie rekompensowały jednakże zamiany centralnego ogrzewania na wiecznie dymiący blaszany piec ani też cofnięcia się od łazienki do miednic czy od elektryczności {do} lampy naftowej {i świec}. Jeśli zaś o mnie osobiście chodzi, {nad wyraz boleśnie przeżywałem} brak tramwajów i wind.

W Ufie nie znaleźliśmy się dobrowolnie. Latem roku 1915 ojcu mojemu kazano opuścić Moskwę. Powód: obywatelstwo niemieckie. Nie zesłano nas jednakże do jakiejś zapadłej osady czy wsi, ale zezwolono, jak wszystkim poddanym niemieckim, nie Niemcom, na osiedlenie się w mieście gubernialnym, byle odległym od Petersburga i Moskwy. Korzystanie jednakże i z tego {też} dobrodziejstwa uwarunkowane było zgodą miejscowego gubernatora. Matka moja, jadąc do Ufy, denerwowała się {ogromnie}, dręczona niepewnością, czy taką zgodę uzyskamy: {dość się naczytała i nasłuchiwała o kapryсах prowincjonalnych potentatów}. Pamiętam, że ojciec mój {również} był {wcale} poważnie przejęty, wybierając się nazajutrz po przyjeździe do Ufy na audiencję do blado-

<sup>19</sup> W tym miejscu kończy się zapis na k. I II; następnie brak dwóch kart: 2 II i 3 II.

<sup>20</sup> Nazwa plemion indiańskich należących do irokeskiej grupy językowej; w połowie XVII w. rozbici przez Irokezów, zamieszkiwali tereny dzisiejszych stanów Michigan i Ohio. Podczas wojny o niepodległość kolonii w Ameryce Północnej (1775–1783) walczyli po stronie Anglików.

<sup>21</sup> Louis Joseph de Montcalm (1712–1759), marszałek Francji; od 1756 r. dowódca wojsk francuskich w Kanadzie; odniósł wiele sukcesów w walkach z przeważającymi liczebnie wojskami angielskimi; śmiertelnie ranny w bitwie pod murami Quebec.

żółtego pałacyku, ozdobionego białymi kolumnami w doryckim, o ile się nie mylę, stylu. Ale niepotrzebnie się tak przejmował: wrócił rozpromieniony. Gubernator okazał się być nie tylko dobrodusznym pocziwiną, ale też fanatykiem odradzającego się {właśnie i w Ufie także} panslawizmu: stwierdziwszy z zadowoleniem, że mój ojciec w {urzędowej} rubryce „wyznanie” ma napisane „katolik”, a nie „luteranin” – rozwodził się przez kwadrans nad mieczem grunwaldzkim i hołdem pruskim, zakończył zaś audiencję kordialnym potrząśnięciem obu rąk ojca i życzeniami przyjemnego pobytu w niezbyt, niestety, ucivilizowanym, ale mającym piękne tradycje i nie mniej piękne ambicje, mieście Ufie. Właściwie pułkownik Adrianow nie [...] <sup>22</sup>.

[...] wyznały Nadziei Aleksandronie specjalnie uprzywilejowaną pozycję w świecie moich wspomnień: pozycję „pierwszej miłości”. Co prawda, już wtedy zadreślał mnie {raz po raz} niepokój, {czy aby wszystko jest w porządku...}, czy to nie pomyłka... czy w ogóle można być zdolnym do przeżywania miłości mając niespełna dziewięć lat; ale ponieważ nie chciałem, {mimo różnicy wieku}, czuć się upośledzonym w {stosunku} do uwielbianych przez siebie bohaterów powieści Coopera <sup>23</sup>, Mayne Reide’a [!] <sup>24</sup> i Juliusza Vernego [!] – dławilem w sobie wątpliwości i wahania tak długo, aż rozproszyła je całkowicie przeczytana właśnie w domu Nadii biografia Lermontowa: z uczuciem niewysłowionej ulgi przyjąłem do wiadomości fakt, że znakomity poeta rosyjski przeżywał pierwszą swoją miłość mając również niespełna dziesięć lat. Od razu się uspokoiłem; poprzez burzliwe lata rewolucji kroczyłem z dumnie podniesioną głową: świadomość, że jestem naprawdę zakochany, dawała mi poczucie ogromnego zadowolenia z siebie. Najpoważniejszą moją troską było czuwanie nad sobą, ażebym się nie skalał niewiernością; *Wojnę i pokój* Tołstoja odsuwałem od siebie z dreszczem zgrozy, książka ta bowiem siała zamęt w moich pojęciach o miłości: ona pierwsza opowiadała mi o tym, że w życiu można kochać nie jeden tylko raz. Potęgowała zaś ową groźną okoliczność, że z *Wojną i pokojem* zapoznawała mnie właśnie Nadia. Gdybyż wiedziała, co czyni! Jak Natasza Rostowa nie przetrzymała zwycięsko próby kilkumiesięcznej rozłąki z księciem Andrzejem, tak też i ja załamane się w swojej wierności, gdy tylko Nadia wyjechała na {dwa} <sup>25</sup> miesiące do Essentuki <sup>26</sup>, odważnie nic sobie nie robiąc z moich ostrzeżeń, że tam przecież mogą przyjść Turcy. Te dwa miesiące skomplikowały niesłychanie na cały z górą rok moje życie uczuciowe: jak major Heyward, towarzysz przygód Sokolego Oka,

<sup>22</sup> Tu kończy się zapis na k. 7 II; następnie brak 4 kart. Kolejny zapis pochodzi z karty oznaczonej numerem 12 II.

<sup>23</sup> James Fenimore Cooper (1789–1851), autor m.in. tzw. *Pięcioksięgu przygód Sokolego Oka*, twórcy romantycznej epopei amerykańskiego osadnictwa oraz modelu przygodowej powieści indiańskiej.

<sup>24</sup> Thomas Mayne Reid (1818–1883), pisarz angielski, przez pewien czas przebywał na Dzikim Zachodzie Stanów Zjednoczonych; autor wielu przygodowych powieści dla młodzieży, m.in. *Lowcy skalpów* (1851, wyd. pol.: 1921), *Jeździec bez głowy* (1866, wyd. pol.: 1922).

<sup>25</sup> Słowo nadpisane nad przekreślonym „cztery”. Na tej podstawie wprowadza się tu zmianę także w następnym zdaniu, choć w rękopisie informacja o okresie nieobecności Nadii nie została zmieniona.

<sup>26</sup> Essentuki – miasto w Kraju Stawropolskim, w północnej części Kaukazu, w dolinie rzeki Podkumok; popularne uzdrowisko.



przyjaźnić się począłem z dwiema siostrami, moimi rówieśniczkami, Jadzią i Iłłą, córkami naszego sąsiada, Antoniego Watzke z Bydgoszczy czy Poznania. Ale inaczej niż major Heyward, nie umiałem na pewno powiedzieć, z którą z tych dwu sióstr chciałem się kiedyś ożenić: Jadzi oświadczałem się wielokrotnie ustnie, ale do Iłły napisałem pierwszy w swym życiu list miłosny. List ten, co prawda, nigdy nie doszedł jej rąk: przejęła go i zniszczyła moja matka, która – w przeciwieństwie do żartobliwej, bagatelizującej postawy ojca – z niezmiennie gniewną nietolerancją burzyła wszystkie ołtarze, jakie pod wpływem lektury powieści wznosiłem w swojej wyobraźni i w swych rozmowach z rodzicami {tajemniczym}, uroczym bóstwom w spódniczkach i z warkoczami. Dopatrywała się zresztą w tym moim kulcie niebezpiecznych zarodków buntu: może i nie bez racji. Bo jeżeli raz jeden {odważyłem} się wyjść przed dom boso, wbrew wyraźnym zakazom matki, {zdo byłem się na to} dlatego {jedyńie}, bo uczulem nieprzewartą potrzebę naśladowania Jadzi i Iłły.

Ale o swoich uczuciach do Nadieźdy Aleksandrowny nie mówiłem z rodzicami nigdy. Matka moja nigdy nie dowiedziała się o tej {mojej} „prawdziwej pierwszej miłości”. Nie podejrzewała, że moje częste odwiedziny w wymalowanym na niebiesko parterowym domku przy ulicy Puszkina 27 jakiś inny jeszcze mogą mieć cel niż tylko wyręczanie służącej, gdy chodziło o zaproszenie do nas na herbatę Iwana Aleksandrowicza Nazariewa.

Nie sądzę, ażeby gubernator świadomie okłamał mojego ojca zapewniając, że także i w Ufie właśnie zaczyna się pod wpływem wojny szerzyć ponownie panslawizm, a wraz z nim i nienawiść do Niemców. Najprawdopodobniej mówił to w dobrej wierze: własne pragnienia podawał za obiektywne fakty. Co prawda, aktowi pragnienia nie towarzyszył akt woli. Rządzona przez niego Ufa była rajem nie tylko dla cywilnych zesłańców niemieckich: wspaniale również czuli się tam jeńcy wojenni. Żołnierze austriaccy i tureccy nie tylko nie byli zamknięci w obozach, ale do jakiegokolwiek wynajmowaliby się pracy, otrzymywali dniówki znacznie wyższe niż robotnicy miejscowi; Niemców zaś z Rzeszy wręcz rozchwytywano: właściciel warsztatu siodlarskiego, ślusarskiego czy stolarskiego, któremu udało się zatrudnić u siebie Prusaka, stawał się {obiektem} powszechnego podziwu i zazdrości – urastał wysoko w oczach zarówno własnych, jak i {swojej} żony i całego miasta. Gdy zaś zapowiedziano przybycie do Ufy pierwszej partii {wziętych do niewoli} niemieckich oficerów – coś niby prąd elektryczny wysokiego napięcia wstrząsnęło całą inteligencją miasta. Adwokaci i zamożni stolarze, lekarze i modni krawcy, inspiratorki wieczorów literackich i zapaśnicy cyrkowi – wszyscy zasympywać poczęli kancelarię urzędu gubernatorskiego podaniami o prawo do pomieszczenia u siebie jednego, a to i dwu naraz [s]pomiędzy przybywających oficerów. Nie jestem pewien, czy istotnie tak było, ale na werandzie mleczarni w Parku Uszakowskim opowiadano, że wysiadającym z pociągu oficerom niemieckim wręczano kwiaty, a ktoś z wybitniejszych obywateli miasta wygłosił mowę o więzach kultury, silniejszych {i trwalszych} ponad przesady różnic plemiennych, jakaś panienska zaś uraczyła przybyszy deklamacją wiersza Goethego czy Heinego. W każdym razie ja na własne oczy widziałem niemieckie oficerskie czapki w alejach Parku Uszakowskiego – {mknęły} ku nim wszystkie spojrzenia: spojrzenia {gorączkowe, ale} bynajmniej nie wrogie i nawet nie niechętne. Jedna z tych czapek niebawem znalazła się w bliskim sąsiedztwie ze mną: jedliśmy właśnie z mat-

ką {i malutkim moim bratem<sup>27</sup>} na werandzie mleczarni podśmietanie z cynamonem, gdy przy stoliku obok usiadł oficer niemiecki w towarzystwie podporucznika rosyjskiego i dwu panienek w gimnazjalnych mundurkach. Wpatrzony w niemiecką czapkę, tak niepodobną do kasków widzianych kiedyś w Berlinie – żadnej absolutnie uwagi nie zwracałem na gimnazjalistki: stwierdziłem jedynie, że najprawdopodobniej obie są siódmoklasistkami. Zresztą {wciąż jeszcze} przepełniały mię zrodzone poprzedniego dnia marzenia o małżeństwie z Niemką w czerwonej aksamitnej sukni: przecież dlatego {jedynie} pokrzyżowałem pierwotne zamiary mojej matki, umówionej na {owo} popołudnie z krawczynią – ponieważ uważałem za swój obowiązek codziennie widywać kobietę, którą upatrzyłem sobie na żonę. Idąc do parku drżałem, że jej może tam nie być. Była – ale tym razem obecność jej nie napawała mnie poczuciem radości: z ogromnym wysiłkiem hamowałem łzy, które mi się cisnęły do oczu na widok spojrzeń, jakimi moja wybranka ściagała od fortepianu każdy ruch i każde słowo siedzącego przy stoliku opodal nas niemieckiego oficera. Ucieszyło mnie niespodziane nadejście ojca: postanowiłem za wszelką cenę skłonić rodziców, ażebyśmy natychmiast opuścili park; nie mogłem znosić dłużej mąk zazdrości.

Ale sądzone mi było pozostać w parku do późnego wieczora. W pewnym momencie matka powiedziała do ojca niby szeptem, a przecież dość głośno:

– Posłuchaj, jak ten podporucznik wspaniale mówi po niemiecku...

Podporucznik najwidoczniej dosłyszał te jej słowa: wolnym ruchem począł obracać ku nam głowę, jak się okazało, obandażowaną tuż nad czołem; zauważyłem na jego piersi krzyż, a nad krzyżem wstążeczkę w brązowe i czarne prążki. Zimnymi, stalowymi oczyma przyglądał się dłużej kolejno wszystkim nam trojgu, a im dłużej patrzył, tym bardziej ocieplało się jego spojrzenie. Wreszcie podniósł się i, lekko utykając, ruszył ku naszemu stolikowi. Ojciec mój także się podniósł. Matka zdziwionym, nieco zaniepokojonym wzrokiem śledziła uśmiech, jaki począł wykwiatać między jego wąsami a brodą. Nie zdążył zaś jeszcze ranny podporucznik skończyć zdania „Czy państwo mnie poznajecie?“, a już ojciec mój ścisnął serdecznie obie jego dłonie, wesoło wołając:

– Iwan Aleksandrowicz Nazariew, nieprawdaż? Ale cóż pan robi tutaj, w tej przeduralskiej Arkadii?!...

– Jak to co? – odpowiedział Nazariew, nachylając się, aby ucałować rękę mojej matki – przecież jestem tutejszy – nie mówiłem państwu o tym w Berlinie? W Ufie się urodziłem, w Ufie skończyłem gimnazjum, to samo, gdzie mój ojciec uczy po dziś dzień łaciny... On uczy, a nie ja – zakończył z figlarnym, a trochę i zjadliwym uśmiechem.

– Wojował pan? – zapytał mój ojciec, wskazując oczyma na bielejący pod daszkiem {oficerskiej} czapki bandaż.

– Wojowałem, ale nie bardzo wiem, po co... Właśnie starałem się ustalić z moim chwilowym kolegą po fachu, a wedle rozkazu Miłościwie nam Panującej Jego

<sup>27</sup> Brat Teodora, Adolf Parnicki (ur. 1914 w Moskwie), pozostawał pod opieką ojca również po śmierci matki, Augustyny, i po zawarciu przezeń ponownego małżeństwa. Macocha, niechętna Teodorowi, godziła się na objęcie opieką Adolfa. Z bratem spotkał się Teodor jeszcze raz w swym życiu, kilka miesięcy po śmierci ojca. Do spotkania doszło na dworcu kolejowym w Swierdłowsku w sierpniu 1928. Macocha po śmierci męża mieszkała jeszcze przez jakiś czas w Swierdłowsku, następnie przeniosła się w góry Kaukazu i ponownie wyszła za mąż.

Cesarskiej Mości – moim śmiertelnym wrogiem, o co my właściwie z nim się bijemy... Ale godzinę przegawędziliśmy, a ja wciąż jeszcze nie wiem, po co posyłał mnie do Prus Wschodnich, a potem pod Tarnów Samodzierzca Wszechrosyjski, Król Polski, Wielki Księżę Finlandzki *et cetera, et cetera, et cetera*...

W oczach mojej matki migotać począł {silny} niepokój, tak dokładnie mi przypominający czasy podróży do Szwecji i pobytu w Berlinie... Ale ojciec dobrodusznym uśmiechem odpowiedział na uśmiech Nazariewa, figlarny wciąż, a coraz to bardziej zjadliwy. Niebawem jednakże Iwan Aleksandrowicz przestał się uśmiechać. Pomknął spojrzeniem ku stolikowi, od którego odszedł.

– Nadia, chodź tutaj – zawołał po rosyjsku, natychmiast dodając po niemiecku grzecznościowe przeproszenie, wzmocnione przyjaznym uśmiechem pod adresem oficera jeńca.

Jedna z gimnazjalistek zbliżyła się do nas. Nazariew wziął ją pod rękę.

– To jest moja siostra – powiedział – materiał na wspaniałą kobietę. Myślę, że w niejednej kiedyś zawróci głowie, uwiecznionej aureolą wielkości i sławy... o ile jej, oczywiście, przedtem nie rozstrzelają...

Patrzył na nią z wielką czułością. Po długiej dopiero chwili wymienił nasze nazwisko.

– To są ci państwo, których poznałem, jadąc pod cudzym nazwiskiem do Berlina... Pamiętasz? opowiadałem ci.

Z wielką uwagą {i silnym wzruszeniem} przyglądałem się popielatym włosom, stalowym oczom, ładnym, choć za dużym cokolwieczek ustom, starannie wypielegnowanym, a silnym – jak mi się wydało – rękóm, wreszcie brązowym pantoflom o przodach szerokich, prawie płaskich... Brązowy gimnazjalny mundur i biały fartuszek już mi się zaczynały wydawać strojem stokroć bardziej fascynującym niż czerwona aksamitna suknia... Tak się rodziła moja „prawdziwa pierwsza miłość”.

Widywałem Nadię bardzo często. {W dwa tygodnie zaś} po spotkaniu się w parku Nazariew przyszedł do nas na kolację wraz z siostrą i ojcem. Nauczyciel łaciny imponował mi wspaniałą rozłożystą brodą, zupełnie taką samą, jaka zdobiła twarz cesarza Aleksandra III na różowych znaczkach pocztowych trzykoplejkowej wartości. Siadając do stołu, począł rozglądać się po {wszystkich} kątach jadalni szukając świętego obrazu; przypomniawszy sobie, że nie jest w domu prawosławnym, utkwiał oczy w talerzu, przecież jednak przeżegnał się trzykrotnie. Iwan Aleksandrowicz Nazariew uśmiechnął się pobłaźliwie, Nadia zaś roześmiała się głośno: szydęro i wyzywająco.

– Ja wam nie przeszkadzam modlić się do waszego Marksa, to czemu wy mnie przeszkadzacie?... Gdzież jest wasza zachwalana wolność myśli? – gniewnie mruknął stary nauczyciel i starając się nie patrzeć na syna i córkę pośpiesznie wszczął rozmowę z moimi rodzicami. Przepraszał moją matkę za nieobecność jego żony – tłumaczył, że musiała, dotrzymując danego dawno słowa, wziąć udział w dobroczynnym koncercie towarzyskim na rzecz kilkunaściorga serbskich i rumuńskich sierot, co w wyniku wydarzeń wojennych znalazły się aż w Ufie. Potem zwrócił się do mojego ojca:

– Słyszałem od Iwana, że pan dobrze mówi po łacinie...

– Gdzie tam dobrze?! – machnął lewą ręką ojciec, prawą nalewając wódkę do kieliszków – aż wstyd mi było rozmawiać z Iwanem Aleksandrowiczem...

– A on już i na ciebie ostrzy zęby – powiedział do mnie Nazariew młodszy, wskazując oczyma na swego ojca:

– Zamęczycie was w gimnazjum... Proś rodziców, by jak najprędzej wyjeżdżali z Ufy... Bylebyś do trzeciej klasy tu nie dotrwał...

Do rozmowy wmieszała się Nadia. Powiedziała, że nie ma powodu, abym uciekał od tutejszego gimnazjum, bo robię na niej wrażenie chłopca bardzo uzdolnionego, który i z łaciną sobie poradzi, choćby nawet wykładaną przez jej ojca. Zaczerwieniłem się okropnie. Uczułem, że łkanie ścisnęło mi gardło: dokładnie przypominam sobie, iż miałem ochotę zerwać się z krzesła, uklęknąć i całować jej pantofle, tym razem lakierowane, czarne, bardzo wąskie w palcach... Mówiłem sobie, że chyba i ja jej też podobam się bardzo: byłem pewny, że dlatego krzepi mnie i rozprasza trwogę przed surowym łacinnikiem, bo zależy jej ogromnie na tym, ażebym jak najdłużej nie wyjeżdżał z Ufy...

Przepojony bezmiarem szczęśliwości, zacząłem wesoło rozmawiać z Iwanem Aleksandrowiczem. Prosiłem go, aby opowiadał o wojnie, w szczególności o okolicznościach, w jakich zdobył sobie Krzyż Świętego Jerzego. Odpowiadał mi półsłówkami, wyraźnie niechętnie. Ale od Nadii dowiedzieliśmy się wielu szczegółów, i to bardzo dziwnych. {Mówiła z ożywieniem, coraz to rosnącym; wyraźnie podniecała ją i fascynowała treść własnych słów}; oszałamiała zarówno mnie, jak i moich rodziców opowiadaniem, jak to jej brat, pełniąc na froncie służbę w oddziale spieszonych kawalerii, pchał się w najniebezpieczniejsze sytuacje, podejmował się najbardziej, zdawałoby się, beznadziejnych zadań, czterokrotnie był ranny, ale sam nigdy nie zabił ani nawet nie zranił ani jednego Madiara, ani jednego Prusaka. Gdy dochodziło do strzelaniny oko w oko, strzelał w powietrze, spokojnie narażając się {sam} na zabicie; w walce zaś na bagnety gdzieś w Karpatach dlatego właśnie dostał śmiertelną nieomał ranę, bo nie chciał pchnąć Austriaka, który w niego godził. {Był świetnym strzelcem i pierwszorzędnym fechtmistrem – z reguły udawało mu się zwieść swoich kolegów i przełożonych: widzieli niezręczność tam, gdzie w rzeczywistości działała świadoma wola.} Co prawda {raz} Iwan Aleksandrowicz omalże nie trafił pod sąd wojenny: ktoś z podwładnych mu podoficerów doniósł na niego, że umyślnie pudłuje strzelając do wroga; ale czyż mogło coś znaczyć w oczach sztabowców rosyjskich świadectwo półanalfabety spod Wiatki przeciw eleganckiemu, wysoce wykształconemu oficerowi, {towarzyszowi ich libacyj, a w dodatku} kawalerowi Krzyża Świętego Jerzego?!

– Dlaczegoż pan to robił? – zawołałem zdumiony i zgorszony ogromnie: bohaterowie Coopera i towarzysze Cortesa zupełnie inaczej zachowywali się na wojnie!

– Dlaczego pan to robił? – jak echo powtórzył mój ojciec.

Iwan Nazariew utkwiał spojrzeniem w widelcu. Lekko stuknął dwoma palcami w ozdobiony monogramami moich rodziców płaski trzonek noża.

– Dlatego – odpowiedział posępnie – bo jestem przeciw wojnie...

Na to ojciec odpowiedział, że ktoś tam – nazwiska nie zapamiętałem – też jest przeciw wojnie... Zdaje się, że chodziło o jakiegoś pisarza, Francuza. Może Romains [!] Rollanda? – nie jestem pewny.

Odezwał się stary Nazariew:

– Tamten jest światową sławą, jego by nie posadzono do więzienia, ale mego syna – czemuż by nie?...

Twarz Nadii stanęła w ognjach.

– Iwan nie boi się więzienia! – zawołała namiętnie, wyzywająco patrząc mojemu ojcu wprost w oczy: ale nie było to napastliwe spojrzenie, tylko takie, co się jak gdyby domaga – i to właśnie od tego, na kogo patrzy... koniecznie od niego – potwierdzenia jej opinii. Ale nim ojciec zdążył coś powiedzieć, zabrał głos sam Iwan Nazariw. Oczu jednak nie podniósł, wciąż wpatrzony był w widelec.

– Nadia ma rację. Nie boję się więzienia. Alem dlatego nie poszedł do więzienia, bo {idioci mieliby} prawo mówić, że jestem przeciw wojnie, ponieważ o siebie się boję... A ja się o siebie nie boję, a raczej może się i boję, ale przełamuję ten strach i mówię sobie: „Wolno mi siebie narazić na cierpienie, ale innego człowieka – nie...”

– To pan idzie dalej niż ewangeliczne przykazanie Chrystusa... Kocha pan bliźniego nie jak siebie samego, ale mocniej niż siebie – powiedział mój ojciec z uśmiechem, jak zawsze dobrodusznym, ale może cokolwiek też i sceptycznym. Głośno uderzył tym razem Iwan Nazariw w trzonek noża: nie dwoma palcami, czterema.

– Co mię tam Chrystus obchodzi?! – zawołał z lekceważeniem, prawie z odrazą. – Nigdy nie istniał...

– A jeżeli istniał? – pośpiesznie {rzucił pytanie} stary Nazariw, zerkając na syna spod oka.

Ale Iwan Aleksandrowicz nie chciał kontynuować tego tematu. Wypiwszy wódkę i przeknąwszy kawałek chleba z czerwonym kawiozem oświadczył ze swobodnym, prawie wesołym uśmiechem, że inny jeszcze przyświecał mu cel, gdy szedł na wojnę.

– Cóż to za cel? – zapytała moja matka dotykając ręką dzwonka, widocznie z zamiarem wezwania służącej, aby przyniosła następne danie. Ale nie zadzwoniła, cofnęła rękę: myślę, że uważała, iż rozmowa ta nie nadaje się do tego, ażeby przysłuchiwała się jej nasza Nastia.

– Cel? Agitacja – odpowiedział Iwan Nazariw.

– Agitacja za pokojem?

Wydawało mi się, że zadając to pytanie ojciec mój rzucił przelotne, ale bardzo uważne spojrzenie na Nadię. {Może} jednakże się myliłem. {Nadia natomiast na pewno patrzyła w tej chwili} {memu ojcu} wprost w twarz: i znowuż było to spojrzenie wyzywające, natrętnie domagające się jakiejś z nią solidarności. Gdy wspominał to dzisiaj, zdumiewam się: wszak ta dziewczyna nie miała {wtedy} jeszcze osiemnastu lat.

– Nie, nie za pokojem, za rewolucją – spokojnie odpowiedział Iwan Nazariw.

– Powiedz wszystkim „dobranoc” i idź spać – zwróciła się do mnie matka tonem nie dopuszczającym żadnego sprzeciwu. Daremnie rzuciłem ku ojcu błagalne spojrzenie: apelacja nie zdała się na nic. Troje Nazariwów ścisnęło mi dłoń, jak gdybym był dorosły; nie omyliłem się przy pierwszym obejrzeniu Nadii: istotnie miała bardzo silną rękę.

Tajemnicze słowo „rewolucja” [...] <sup>28</sup>.

[...] abdykował, książę Lwow <sup>29</sup> formuje nowy gabinet!

<sup>28</sup> Koniec zapisu z k. 32 II, nie zachowało się 12 następnych kart; kolejny zapis pochodzi z k. 45 II.

<sup>29</sup> Gieorgij J. L w o w (1861–1925), książę, prokurator Świętego Synodu, jeden z czołowych

Pięć czy sześć postaci męskich z namydlonymi twarzami zerwało się z foteli, runęło ku drzwiom; między nimi mój ojciec. W okamgnieniu rozchwytno nadzwyczajne wydania „Życia Ufy”. Niby olbrzymim rojem pszczoł wypełniła się mała fryzzeria. Jeden z siedzących obok mnie oficerów zawołał: „Niech żyje demokratyczna konstytucja!” Ktoś inny krzyczał: „Niech żyje republika!” Z ulicy zaś doszło wołanie: „Śmierć niemieckim pachołkom! Niech żyją alianci!” Nim zaś zdążyłem dojść do domu, jeszcze jedno usłyszałem hasło: „Precz z aliantami! Niech żyje pokój!”

Tegoż jeszcze wieczora po raz pierwszy w życiu usłyszałem melodię *Marsylianki*. Półtoratysięczny chyba tłum ciągnął ulicą Wielką Iljińską, potem skręcił na Centralną, kierując się pod gmach imienia Aksakowa, gdzie mieściły się różne instytucje kulturalne. W tłumie przeważali gimnazjaliści, uczniowie szkół realnej i mierniczej, młodzi oficerowie. Sporo było gimnazjalistek. Serce zabiło mi silniej, a w nosie zaczęło szczypać, nie z zimna tylko: dojrzałem Nadię, szła tuż obok studenta niosącego czerwony sztandar ze złotym napisem: „Niech żyje republika demokratyczna!”

Nazajutrz cała Ufa ubrała się w czerwień, gdzieś tam przetykaną czernią – anarchiści także powywieszali swoje flagi. Matka nie wypuszczała mnie na ulicę – przez tydzień cały chyba: skracałem sobie dni wycinaniem z pism portretów nowych ministrów: podobał mi się Milukow<sup>30</sup> w cwikierze, zachwycał Kierenski<sup>31</sup> uczesany na jeża, przystojnemu premierowi nawet wybaczyłem brodę, ale tylko jemu: Guczkow<sup>32</sup>, Manujłow<sup>33</sup>, a przede wszystkim łysy prokurator Świętego Synodu Lwów skazani zostali na wrzucenie między śmiecie.

Za kilka zaś dni po raz pierwszy właściwie w życiu zadumałem się nad problemem relatywizmu: na stronie tytułowej kolejnego numeru {tygodnika „Ogoniok”}, zamiast zwykłych dotąd hołdowniczych frazesów, znalazłem krótkie: „Dosić, skończyło się wasze panowanie!”

Iwana Nazariewa {długo} nie widywałem wcale, aż dopiero na wielkim zgromadzeniu publicznym w jednym z kin, dokąd ojciec zabrał mnie z sobą, z trudem uzyskawszy zgodę mojej matki. Po dziś dzień żywo mam w oczach efektowny gest, z jakim Iwan Nazariew przy akompaniamencie entuzjastycznych oklasków i okrzyków zerwał swe oficerskie naramienniki, {namiętnie} wołając: „Niech żyje

polityków rosyjskiej burżuazji, działacz kadetów, od 1906 r. poseł do I Dumy Państwowej; po rewolucji lutowej 1917 r. był premierem oraz ministrem spraw wewnętrznych Rządu Tymczasowego (od 15 III do 27 VII). Po zwycięstwie rewolucji październikowej wyemigrował do Francji.

<sup>30</sup> Paweł Nikołajewicz M i l u k o w (1859–1943), polityk, historyk, członek III i IV Dumy, współzałożyciel i przywódca partii kadetów. Był ministrem spraw zagranicznych w Rządzie Tymczasowym (marzec–maj 1917). W roku 1918 wyemigrował do Francji.

<sup>31</sup> Aleksandr Fiodorowicz K i e r e n s k i j (1881–1970), z zawodu adwokat, członek IV Dumy; od 1912 r. był masonem. Aktywny uczestnik rewolucji lutowej 1917; początkowo był ministrem sprawiedliwości, następnie premierem Rządu Tymczasowego (od 27 VII do 7 XI). Od roku 1918 na emigracji. Zmarł w Nowym Jorku.

<sup>32</sup> Aleksandr Iwanowicz G u c z k o w (1862–1936), organizator monarchistycznej partii „oktia-bristów”; w latach 1910–1911 przewodniczący III Dumy. W Rządzie Tymczasowym był ministrem wojny; po przewrocie październikowym wyemigrował.

<sup>33</sup> Aleksandr Apollonowicz M a n u j ł o w (1861–1929), rosyjski ekonomista, w latach 1908–1911 rektor Uniwersytetu Moskiewskiego, członek komitetu partii kadetów, autor jej programu reformy agrarnej; w 1917 r. był ministrem oświaty w Rządzie Tymczasowym; po rewolucji październikowej przez pewien czas przebywał na emigracji, następnie powrócił do Rosji.

republika! Niech żyje demokracja!”... Przez chwilę był bożyszczem tłumu, ale niebawem wyniknął incydent, którego sensu długo nie umiałem sobie wytłumaczyć. Ósmoklasista Birman, ulubieniec starego Nazariewa, najlepszy – jak mówiono – łacinnik w całym I Gimnazjum, uciszył w okamgnieniu burzę okrzyków i oklasków, z rozmachem ciskając na podłogę swe okulary i wołając poprzez śmiech jak gdyby:

– Tu kryje się jakiś szwindel... Towarzyszu Nazariew, przecież mówiliście, że jesteście socjaldemokratą... czemuż nie rzucacie hasła: „Niech żyje socjalizm!”?!...

Zapadła półminutowa cisza, którą przerwała jakaś panienska w chustce na głowie, ale w eleganckich popielatych śniegowcach.

– Na {socjalizm} jeszcze nie czas! – krzyknęła, przeciskając się poprzez tłum ku estradzie i wyciągając obie dłonie ku Iwanowi Nazariewowi.

– Nie czas?! – wrzasnął Birman – Hańba! Mieńszewicy! Pacholki burżuazji! Na sali wybuchła wrzawa, wszczął się tłok. Tu i ówdzie krzyczano: „Ratunku! Duszą!” Ojciec mój szybko począł przeciskać się ku wyjściu, mocno trzymając mnie za rękę. Gonił nas, wzbijający się wysoko ponad wrzawę, dwugłos Iwana Nazariewa i panienski w chustce:

– Niech żyje republika demokratyczna!

Nie bardzo zdawałem sobie wówczas sprawę z różnicy między odłamami w łonie rosyjskiej socjaldemokracji. Uczuciowo wołałem bolszewików, bo sama nazwa ich była jakaś dostojniejsza; zresztą opowiadanie Mayne-Reide’a [!] *Biała rękawiczka* i powieść – nie pamiętam już, czyja – o Mariuszu, niezłomnym antagoniście reakcyjnego Sulli, uczyniły mnie na czas jakiś – ku przerażeniu i gniewowi matki – {najskrajniejszym} maksymalistą rewolucyjnym. Zacząłem szukać przyjaźni krótkowidza Birmana, pod byle pozorem zapraszałem go do nas na kolacje. Namiętnie agitowałem, ażeby ojciec mój w wyborach do konstytuandy głosował na listę bolszewicką – śmiał się ze mnie i wzruszał ramionami. Kiedyś zaś, gdym {wreszcie} ublażał Birmana, aby poparł moją działalność agitacyjną, i świetny łacinnik zaczął cytować coś z {mów} Lenina – ojciec mój przerwał mu niemal opryskliwie:

– Co mię to wszystko obchodzi? Jestem cudzoziemcem. Czytał pan? Rząd Tymczasowy ogłosił niepodległość Polski...<sup>34</sup>

Późnym wieczorem zaś, gdy Birman poszedł, a ja, odnalazszy odpowiedni kawałek węgla, zabrałem się do pisania na ścianie „Cała władza Sowiecom” – ojciec zawołał mnie do kuchni i, wycierając chusteczką czarne plamy z mojej twarzy, powiedział, patrząc mi znacząco w oczy, jak gdyby z dorosłym rozmawiał:

– Nie jestem pewien, czy Nadia podzieliłaby ten twój entuzjazm...

Nadia była od kilku tygodni na Kaukazie i moje sentymenty coraz bardziej się ogniskowały wokół Jadzi Watzke, szczególnie od czasu, gdy na moje pytanie: „A ty za kim jesteś?”, odpowiedziała: „Za tymi, za kim ty...” Poprosiła mnie przy tym, abym o tym nikomu nie mówił, bo jej rodzice są za kadetami. Wspólność przekonań, wzmocniona wspólną tajemnicą, na czas jakiś zupełnie wymazała z mojej wyobraźni postać Nadii Nazariewej. Ale wystarczyło kilka słów ojca, ażeby ponownie znalazł się całkowicie w mocy jej obrazu: począłem z gorączkową niecierpliwością wyczekiwać dnia jej powrotu, {szczegółowo} obmyślając pytania polityczne, jakie jej zadam przy pierwszym spotkaniu.

<sup>34</sup> Rząd Tymczasowy ogłosił niepodległość Polski 31 III 1917.

1 maja poszliśmy do Nazariewów na kolację. Matka moja czuła się coraz gorzej, ale że dzień był śliczny, a i wieczorem nie zrobiło się o wiele chłodniej, dała się uprosić i zawieźć dorożką na ulicę Puszkina, dokąd z naszej Sadowej nie było daleko. Oczywiście, w czasie kolacji bez przerwy mówiono tylko o przedpołudniowych manifestacjach. Z czerwoną rozetką w klapie paltotu towarzyszyłem ojcu i paru jego kolegom biurowym przez cały ciąg uroczystości. Powędrowałem z nimi aż za miasto, gdzie odprawione zostało nabożeństwo przy polowych ołtarzach, ozdobionych czerwonymi sztandarami.

– Ale Boga po co w to mieszacie? – irytował się stary Nazariew, co chwila wylewając na obrus herbatę, którą pił ze spodeczka.

– Popom {to} wszystko jedno, {oni i na intencję rozprzestrzenienia satanizmu odprawiliby nabożeństwo, jakby im dobrze zapłacono} – odezwał się jego siostrzeniec, przybyły niedawno z Saratowa, gdzie {coś} – nie pamiętam, co – studiował.

– Bóg wszystko wycierpi, Pobłażliwy jest, Dobrotliwy – mruknęła matka Nadii.

– To, co nie istnieje, nie może ani cierpieć, ani nie cierpieć – zaśmiał się Iwan Aleksandrowicz. Nauczyciel łaciny spojrział na syna spode łba i rozgryzając kawałek cukru zamamrotał:

– Myślicie, że Bóg wie jakie nowe sztuki wyprawiacie, a któż to powiedział: „Biada wam, bogacze”<sup>35</sup>... albo „Błogosławieni, którzy cierpią”<sup>36</sup>.

– Ależ my {bynajmniej} nie błogosławimy cierpiących, {jako że} wcale nie chcemy, by ktokolwiek cierpiał – niecierpliwie wzruszając ramionami odpowiedział Iwan Aleksandrowicz.

– Cóż, pożyjemy, zobaczymy... zobaczymy, czy jak {otworzycie} ten swój cyrk... przepraszam, ten swój raj socjalistyczny, to czy nikt tam nie będzie cierpiał... – nie dawał za wygraną stary łacinnik.

Zabrał głos przybyły z Saratowa siostrzeniec. Powiedział, że ci, którzy uciskali i eksploatowali proletariata, będą musieli cierpieć.

– Słyszysz? – zwrócił się stary Nazariew do syna. – Wstań, pójdz do kuchni, tam leży siekiera... Chodźże więc po domach sąsiednich i rozwalaj czaszki... Na naszej ulicy co drugi to eksploatator...

Iwan Aleksandrowicz przybladł nieco. Pociągnął wielki łyk gorącej herbaty i odrzekł głuchym głosem coś, czego wówczas w pełni nie rozumiałem, ale co zapamiętałem dość dokładnie: że klasa eksploatatorów przestanie istnieć bez użycia w stosunku do niej siekier... że roztopi się w proletariacie, gdy tylko ten przejmie z jej rąk środki produkcji...

Student z Saratowa mruknął coś, co było wyraźną dezaprobatą. Stary zaś Nazariew roześmiał się.

– Zobaczymy, jak tobie ot chociażby bracia Laudańscy oddadzą dobrowolnie środki produkcji – zawołał, znowu nalewając herbatę ze szklanki na spodeczek. – Ty byś mnichem był dobrym, synalku, nie rewolucjonistą... Krzyczysz tylko...

– Rewolucję robią i pogłębiają nie tacy, jak Iwan – z powagą powiedział student z Saratowa.

– A ty co na to? – znowu zwrócił się stary Nazariew do syna.

<sup>35</sup> Łk 6, 24.

<sup>36</sup> Mt 5, 6; Łk 6, 21.



Ale Iwan Aleksandrowicz już nie chciał kontynuować rozmowy. Podniósł się, przeprosił moich rodziców powołując się na jakąś pilną robotę przedwyborczą i poszedł do swego pokoju. Po chwili zaś zawołał stamtąd na mnie, żebym przyszedł do niego. Gdy przekroczyłem próg, kazał mi zamknąć za sobą drzwi i usiąść na kanapie. Chwilę szukał czegoś między papierami na biurku, wreszcie znalazłszy jakiś list zbliżył się do mnie, położył mi rękę na ramieniu.

– W przyszły czwartek wraca Nadia. Czy chcesz pójść na dworzec?

Uczułem, że tracę oddech. Szczypało mnie w nosie, na pewno nie z zimna, w piecu napalone było aż zanadto. Słowa nie mogłem wymówić, ledwie zdołałem skinać głową.

– Poproś ojca, żeby poszedł z tobą na dworzec.

Zaniepokoiłem się. Zapytałem, o której godzinie przyjeżdża pociąg. Ojciec może być zajęty i nie zechce pójść na dworzec. Czy więc nie {byłoby} najprościej, ażeby Iwan Aleksandrowicz wziął mnie z sobą albo żeby matka mi pozwoliła pójść z naszą Nastią?

Iwan Nazariew potrząsnął przecząco głową. Nie, on nie może mnie wziąć ze sobą, bo przyjedzie na dworzec wprost z zebrania partyjnego, nasza Nastia zaś jest ideałem tępoty i będzie godzinami błądziła po mieście. Koniecznie więc muszę namówić ojca, ażeby poszedł. Zresztą, Nadia ma dla niego jakiś ważny a pilny list, którego nadawca nie chciał powierzyć rękóm urzędników pocztowych.

Obiecałem.

Ojciec w skupionym milczeniu wysłuchiwał moich wielokrotnych błagań. {Długi czas} nie mówił ani: tak, ani: nie. Aż wreszcie odpowiedział, wprowadzając mnie równocześnie i w szal radości, i w boleść urazy:

– Dobrze, pojedziemy na dworzec. Nie mów nic mamie, jeśli będzie pytała, powiedz, że idziesz do Birmana... że jego matka zaprosiła ciebie na obiad... Ale wiesz, nieraz się zastanawiam, co z ciebie wyrośnie: nieuleczalny nigdy fantasta czy może wielki głupiec?!

Nadia wydała mi się stokroć bardziej urocza niż kiedykolwiek przedtem. Przy powitaniu jednak była jakaś posępna i bardzo błada. Iwan Aleksandrowicz powiedział prawdę: Nadia jeszcze na peronie wręczyła ojcu list. Czytał go w dorożce, którą wracaliśmy do domu. Potem schował list do portfela. Ja byłem cały czas ogromnie podniecony: na wieczór zaproszono mnie do Nazariewów. Ale czekał mnie okropny cios: tuż przed wieczorem, gdzieś koło piątej, ojciec powiedział, że zabiera mnie z sobą do kina na *Gniew bogów*<sup>37</sup>. Gdy zaś zacząłem się tłumaczyć, że muszę iść z wizytą, ojciec tonem tak ostrym jak rzadko kiedy oświadczył, że właśnie dlatego bierze mnie do kina, abym nie szedł do Nazariewów; dodał też, że żąda ode mnie słowa, iż nigdy {już} nie pójde do Nazariewów nie otrzymawszy od niego wyraźnego na to pozwolenia.

Rozpłakałem się, ale słowo dałem. Okropnie się czułem nieszczęśliwy. Coś musiało się stać. Ale co? – na próżno łamałem sobie głowę. Filmu prawie zupełnie nie rozumiałem – myśl moja pełna była Nadii. Jedyne, co mnie zainteresowało z treści wyświetlanego obrazu – to jakiś mieszkający w grocie japoński czarownik: z tęsknotą zapytywałem go bezgłośnie, jak długo nie będę widział Nadii...

<sup>37</sup> *Gniew bogów* (*The Wrath of Gods*), pełnometrażowy film w reżyserii Th. H. Ince'a (1882–1924), powstał w 1914 r. w hollywoodzkiej wytwórni Bison 101.

Nie widziałem jej aż do ostatnich dni lipca. Zasadniczo dochowywałem jej wierności: Jadzia i Iłła Watzke interesowały mnie o tyle tylko, o ile mogły w wielkim ogrodzie, pełnym drzew orzechowych, współdziałać ze mną w inscenizacjach *Ostatniego Mohikanina* i wędrowek dzieci kapitana Granta wzdłuż trzydziestego siódmego równoleżnika. Zupełnie już niewrażliwy byłem na namowy obu sióstr, ażebym tak jak i one chodził boso. Tęsknotę swoją za Nadią topiłem w masowej lekturze: wówczas to po raz pierwszy oczarowała mnie towarzyszką Cortesa, Azteczka Doña Marina – od tamtych dni fascynuje mnie niezmiennie aż po dzisiaj. I wówczas to dostałem nową a gruntowną lekcję relatywizmu: sympatyczni, bohaterscy Anglicy, w których rozkochałem się czytając Coopera – poczęli mi {nagle} się ukazywać jako typy podłe i odrażające, a to na kartach powieści Gustawa Aimarda<sup>38</sup>. Uwielbiałem Jerzego Washingtona, ową uroczą postać ze stronic *Szpiega*<sup>39</sup>; z trudem go rozpoznawałem na kartach *Fortu Duquesne* i *Żmii z atlasu*<sup>40</sup>.

W połowie lata {stan} zdrowia mojej matki pogorszył się znacznie, a o wyjeździe na Krym, na skutek zawieruchy rewolucyjnej, absolutnie nie mogło już być mowy. Przeplakałem kiedyś całą noc, usłyszawszy, jak służąca rodziny Watzke powiedziała do naszej Nastii, że jeżeli moja matka przeżyje jeszcze rok, to będzie cud Boski. W {szczególnie zaś złym} stanie znajdował się system nerwowy mojej matki. Nieobecność ojca w domu napawała ją straszliwą trwogą. Ilekroć nie wrócił z biura punktualnie dziesięć minut po trzeciej, matka zaczynała {dzwonić} niemal do {tych} wszystkich abonentów z książki telefonicznej, czyje nazwisko kiedykolwiek padło w naszym domu. Nie było ich dużo: Ufa w ogóle posiadała mało telefonów; {matka moja zaś}, stwierdziwszy, że ojca {oczywiście} nie ma w żadnym z tych domów, dokąd dzwoniła, wysyłała mnie na miasto. Zlecenie było stanowcze, zwięzłe, a bardzo ogólnikowe: znaleźć ojca. Błądziłem więc po ulicach, głównie po Centralnej: często, gdy wracałem zrozpaczony, zastawałem już ojca w domu. Z biegiem czasu ów stan ciągłego niepokoju, potęgujący się u mojej matki z dnia na dzień, i mnie się też zaczął udzielać. Z nie mniejszą trwogą niż ona reagowałem na każde, parominutowe {chociażby} opóźnienie ojca. Z własnej inicjatywy zacząłem wybiegać mu naprzeciw.

Któregoś dnia Nastia przyniosła z miasta wiadomość o poważnych rozruchach. Jak okazało się później, wiadomość była przesadzona, ale matka moja zdenerwowała się tak okropnie, jak nigdy przedtem. Krótką chwilę obawa o to, co mnie się może przydarzyć na ulicy, walczyła w niej ze zwykłym, ale stokroć tym razem spotęgowanym niepokojem, dlaczego ojciec się spóźnia... Wreszcie zdobyła się na ogromne wyrzeczenie się, prawdziwe – przy jej stanie zdrowia i nerwów – bohaterstwo: kazała Nastii iść ze mną, a w domu została sama, tylko z małym moim bratem. Wychodząc {zapytałem}, gdzie mam szukać ojca.

<sup>38</sup> Gustave Aimard, właśc. Oliver Gloux (1818–1883), powieściopisarz francuski. Dostawszy się do Ameryki jako chłopiec okrętowy, spędził młodość wśród plemion indiańskich w Arkansas i band awanturników w Meksyku. Stamtąd czerpał tematy do swych powieści. W roku 1848 powrócił do Paryża. Zmarł w szpitalu dla obłąkanych. W przekładzie polskim ukazały się dwie jego powieści: *Awanturnicy* (1879) i *Mściciele* (1881).

<sup>39</sup> Powieść *Szpieg* J. F. Coopera, z 1821 roku. Pierwsze polskie wydanie ukazało się w roku 1829.

<sup>40</sup> Te powieści G. Aimarda poznał Parnicki w przekładzie rosyjskim.

– U wszystkich znajomych, u wszystkich jego kolegów biurowych! – brzmiała pełna bolesnego podniecenia odpowiedź.

I wówczas to zadałem pytanie:

– Czy u Nazariewów także?

Otrzymałem odpowiedź twierdzącą. Oczywiście, gdyby moja matka nie była tak straszliwie zdenerwowana, może by przyszło jej na myśl, że gdzie jak gdzie, ale do Nazariewów ojciec na pewno nie poszedł: przestał tam bywać od dnia powrotu Nadii z Kaukazu. Ale ja ani myślałem czekać, aż jej to wreszcie przyjdzie na myśl: pośpiesznie zbiegłem ze schodów. Znajdowałem się na szczytach szczęścia: zobaczę Nadię!

Najpierw odwiedziłem {Niemca Brückę} i adwokata Kijkowa. Oczywiście, ojca nie było ani tu, ani tam. Skierowałem się do Michlena, kolegi biurowego ojca. Ale nie zdążyłem zrobić dziesięciu kroków od drzwi domu Kijkowa, gdy nagle zobaczył ojca, idącego właśnie z Michlenem w kierunku naszej ulicy. W okamgnieniu ulotnił się cały mój niepokój: jego miejsce zajęła troska, jakby tu spławić Nastię i pobiec do Nazariewów. Udało mi się: Nastia przepadała za kwasem chlebowym, ale była straszliwie oszczędna; rewolucja zaś podniosła dwunastokrotnie także i cenę kwasu. Sięgnąłem więc do kieszeni, gdzie {trzymał} zastępujące srebrną monetę znaczki pocztowe, zaopatrzone w odpowiednie naddruki – i bohatersko rezygnując z lodów, wręczyłem pieniądze Nastii, usadowiając ją na ławce przed sklepikiem z kwasem na rogu ulic Puszkina i Centralnej. Sam zaś co pędu w nogach pognałem do Nazariewów.

Byli już po obiedzie. Iwan Aleksandrowicz {w ogóle} nie wracał jeszcze od wczesnego rana, nauczyciel łaciny drzemał na kanapie w pokoju syna, Nadia zaś – jak mnie poinformowała służąca – poszła z książką do ogrodu. Z silnie bijącym sercem zacząłem jak najostrożniej pchać przed siebie furtkę w ogrodzeniu oddzielającym porośnięty wysoką trawą ogródek od dużego podwórza, po którym spacerowały kury i {cztery} bodajże gęsi. Furtka jednakże skrzypnęła niemiłosiernie głośno. Ponad {morze zieleni} [...] <sup>41</sup>.

[...] Po chwili zaś dodała:

– Chodź bliżej. Połóż się koło mnie na trawie. Będziemy razem czytać.

A gdy znalazł się koło niej, zawołała rozkazująco:

– Zdejmże te ciężkie buciory i te idiotyczne, pretensjonalne skarpeteczki...

Zaraz zdejmuj, słyszysz?

Nie usłuchałem rozkazu. Wpływ matki za głęboko już się we mnie wkorzenił. Jeszcze rok temu chodziłem boso w wyniku perswazyj Jadzi i Iłły; obecnie zdolny już byłem oprzeć się nawet życzeniu Nadii.

Zaśmiała się.

– Twoja matka – powiedziała z gniewnym a zjadliwym błyskiem w oczach – wmówiła w ciebie, że to nieprzyzwoicie i śmiesznie chodzić boso... A czyś ty nie pomyślał nigdy – taki niby z ciebie mądry chłopak?! – że to ty właśnie wyglądasz potwornie śmiesznie parując w tych buciorach na taki upał, gdy wszystkie dzieci chodzą boso...

<sup>41</sup> Koniec zapisu na k. 62 II; kolejny zapis pochodzi z k. 65 II.

Może mówiła prawdę. Niejeden raz spostrzegłem, chodząc po naszej ulicy, że bose chłopaki i dziewczęta – a nawet i mający na nogach obuwie dorośli – ścigają mnie ironicznymi uśmiechami, a nierzadko i wprost kpiącą uwagą. Matka Jazdi i Iłły kiedyś wręcz powiedziała mojej matce:

– Pani wypacza swojego chłopca...

– Nie jestem dzieckiem – odpowiedziałem Nadii, czerwieniąc się jeszcze bardziej.

Znowu roześmiała się.

– A czymże?... Dojrzałym młodzieńcem, kandydatem do małżeństwa? Może do mojej ręki, co?

Nie czerwony już byłem, ale biały chyba jak ściana. Zdawało mi się, że zaraz upadnę. Nadia zaniepokoiła się.

– Cóż ci jest? – zawołała strwożonym głosem. Chwy-[...] <sup>42</sup>.

[...] stojący w drzwiach ze szklanką wódki w ręku.

– Powoli, Iwanie Aleksandrowiczu, powoli – uśmiechnął się mój ojciec. – Nam pan nic do picia nie zostawi...

– Niech się pan nie niepokoje. W tym domu w bród i wódki, i wina...

Ojciec zdziwił się. Wódka i wino w obfitości w tych czasach?! Jeszcze zaś bardziej zdziwił się, gdy Iwan Nazariew zaczął go zapewniać, że jest i indyk, i prosię mleczne, i śmietana w barszczu, i kawior... Nie chcieliśmy wierzyć własnym uszom, a niebawem i oczom. Oczywiście, zrozumiała to rzecz, że adwokat Kijkow, sam wielki smakosz, a przy tym człowiek nadzwyczaj towarzyski i gościnny, zrobiłby wszystko, ażeby jak najwystawniej obchodzić z przyjaciółmi dwudziestopięcioletnie ukończenia przez siebie uniwersytetu – ale przecież Ufa czasów rewolucji wcale już nie była owym Eldoradem aprowizacyjnym, jakim nam się wydała po przyjeździe z Moskwy. O wszelkie produkty było coraz to trudniej z dnia na dzień, ba, z godziny na godzinę. Ojciec mój cały prawie swój czas pozabiuroowy spędzał w ogonkach, matka nieraz płakała patrząc na coraz to bledszą, coraz to szczuplejszą twarzyczkę mojego malutkiego brata. Rodziny najbardziej słynne z gościnności przestały zapraszać – życie towarzyskie zaś, o ile się jeszcze tu i ówdzie utrzymywało, przybierało charakter piknikowy: idąc na wizytę zabierało się z sobą z domu cukier, herbatę, masło, czasem chleb nawet. Wybierając się na uroczysty obiad do Kijkowów, z góry delektowałem się dobrze osłodzoną herbatą, jaka mnie na pewno nie minie – ale się nie spodziewałem, że gospodarz olśni nas zupełnie przedwojennym menu... Nic więc dziwnego, że wszyscy od razu wpadli w nadzwyczajne humory – jedynie kuzyn Nadii, ów student z Saratowa, siedział wciąż posępny, bez przerwy pijąc na przemian wódkę i wino, aż nagle się wyrwał z niby to żartem, ale tak idiotycznym i makabrycznym zarazem, że wszystkim popsuł od razu humor. Nabierając {na talerz} wielką porcję prosiaka z chrzanem mruknął sobie pod nosem, ale tak, że wszyscy usłyszeli:

– Kadecką krwią pachnie w tej jadalni... a doprawdy szkoda, taki miły człowiek pan Kijkow...

A gdy skierowały się na niego wszystkie spojrzenia, zgorszzone albo wręcz gniewne, dorzucił:

<sup>42</sup> Koniec zapisu na k. 66 II; następny zapis dopiero z k. 71 II.

– Niech żyje, póki {jeszcze} może, liberalna gospodarka. Niech się pan nie martwi, miły nasz gospodarzu – najpierw {tego} rozstrzelają, który panu wszystkie te specjały dostarczył w zamian za ów garnek chazarski, co jeszcze {dwa tygodnie temu} stał... o, tam w kącie...

Znałem ten garnek chazarski, wydarty trzewiom czarnoziemiu nadkubańskiego przez żonę Kijkowa, niestrudzoną archeologiczkę, chlubę nauki zawołżańskiej. Istotnie nie było go już na zwykłym miejscu.

– Dam głowę – zaśmiał się wiolonczelista Kacman – że garnek ten za rok będzie figurował w katalogu zbiorów Muzeum Brytyjskiego... Może już go ładują na okręt w Noworosyjsku...

– Cóż, Anglik to mędrzec, jak mówi nasza piosenka o „dubinuszcze” – zaśmiał się stary Nazariew. – Nasz rodzimy spekulant nie dałby za to cudo chazarskie nawet trzech funtów kaszy...

Zrobiło mi się nieswojo. Nawet obecność Nadii przestała mnie cieszyć. Bałem się słowa „spekulant”. Zawierało ono w sobie dla mnie sens nie mniej niesamowity, ba, straszny, niż ongiś w Berlinie słowo „rewolucja”. Sprawił to ów świetny łacinnik, Birman; powiedział kiedyś:

– Zobaczysz, jak na bruku Centralnej i Aleksandrowskiej gnąć będą trupy spekulantów... Niech tylko my dojdziemy do władzy... Rozstrzeliwać bezlitośnie będziemy i tych, co sprzedają, i tych, którzy kupują...

Omalże się nie rozpląkałem. Dwa lata już minęły, jakeśmy wyjechali z Moskwy, a ja wciąż nie mogłem wycisnąć precz ze swojej pamięci wizji {ubranego w hełm i pancerz} trupa, co z szeroko rozrzuconymi nogami {i z szeroko rozwartymi oczyma} leży w lewym rogu pobojuwiska, wymalowanego na jednym z obrazów Wasniecowa<sup>43</sup> w Galerii Trietiakowskiej. I oto zaledwie z ust starego Nazariewa padło niesamowite słowo „spekulant” – od razu zobaczyłem tego trupa na nowo: {matrwa} twarz pod hełmem to była twarz Kijkowa.

Ojciec mój podjął się trudnego zadania zwekslować drastyczną rozmowę na tor żartu.

– Pańskie słowa {o kadeckiej krwi} – zwrócił się do kuzyna Nadii – zawisły między niebem a ziemią jak Pan Twardowski... W próżni wiszą. Nasz arcymiły gospodarz nie może ich pokwitować, bo jest eserem<sup>44</sup>, nie kadetem...

– Jeszcze lepiej – mruknął Iwan Nazariew.

– Cóż pan ma przeciw eserom? – zapytał Kijkow.

Iwan Aleksandrowicz nie zdołał jednak odpowiedzieć; przeszkodził mu potężny śmiech Leontija Wasiljewicza Czartoryskiego, który choć i nosił arystokratyczne polskie nazwisko, nie miał nic wspólnego ani z arystokracją, ani z polskością; był właścicielem świetnie prosperującego {olbrzymiego zakładu tokarsko}-ślusarskiego, przynoszącego przed rewolucją fantastyczne podobno zyski. Czartoryski przy-

<sup>43</sup> Wiktor M. Wasniecowa (1848–1926), rosyjski malarz i grafik, malował m.in. realistyczne obrazy rodzajowe, później poetycko ujęte sceny z dawnej Rusi, z baśni i podań ludowych.

<sup>44</sup> Tj. członkiem Socjalistów-Rewolucjonistów, rosyjskiej partii politycznej powstałej w r. 1901/02, której celem było obalenie samowładztwa oraz utworzenie republiki demokratycznej. Socjaliści-Rewolucjoniści, zwani potocznie eserami, byli po rewolucji lutowej 1917 r. najliczniejszą partią Rosji i wchodzili w skład Rządu Tymczasowego. Ostra walka między bolszewikami a eserowcami nasiliła się po przewrocie październikowym, kiedy to Socjaliści-Rewolucjoniści znaleźli się w obozie kontrrewolucji.

jaźnił się z moim ojcem od drugiego dnia naszego pobytu w Ufie, a poprzez ojca nawiązał bliższą znajomość, też prawie przyjaźń, z Kijkowem. Równie potężny co {i} śmiech był jego bas, którym począł robić gospodarzowi wyrzuty za to, iż tak pochopnie mianuje się eserem, wypierając się długoletniej swej przynależności do stronnictwa konstytucyjno-demokratycznego.

– Ja – wołał grzmiąco – nie wstydzę się tego, że jestem kadetem... A choć kadetem jestem, krwiopijcą niby, jak to nas zowią panowie socjaliści tacy i owacy, nie podzielam {przecież} entuzjazmu obecnych tu przedstawicieli SD i SR<sup>45</sup> z okazji potworności, jakie wyprawiają towarzysze Dan<sup>46</sup> i Goc<sup>47</sup> z bolszewikami w Piotrogradzie... Czytaliście państwo, jak to podchorążowie zdemolowali redakcję „Prawdy”?!... Doprawdy nie wiem, czym się różnią panowie eserzy i mieńszewicy od Czarnej Sotni<sup>48</sup>...

– Nareszcie uczciwy i odważny głos! – krzyknął student z Saratowa.

– Ten uczciwy i odważny głos na wieki zamilknie, {niech tylko} bronieni {przez niego} bolszewicy dojdą do władzy – powiedziała Nadia.

– A bohaterski Lenin do Finlandii uciekł<sup>49</sup>, wiecie państwo?! – zaśmiał się Iwan Nazariew.

– Gdzie drwa rąbią, tam drzazgi lecą – dziwi się pan? – zwrócił się do Czartoryskiego Kijkow z przysłowiem, jednakowo brzmiącym we wszystkich chyba językach Europy.

– Ja się {temu} dziwię, że wymowna demokracja natychmiast nabiera wody do ust, gdy nie ją biją, ale ona sama bić zaczyna – odcinał się Czartoryski.

– Bestię z dżungli uśmierza się prawem dżungli! – krzyknął, prawie nie panując już nad sobą, Kijkow.

– To ja już wolę konnego żandarma – mruknął {Czartoryski}.

– Ja zaś ciemnego popa, co nie czytał wprawdzie ani Marksa, ani Plechanowa, ale ma wbite sobie do głowy: „Miłujcie nieprzyjacioły wasze”<sup>50</sup> – odezwał się stary Nazariew.

– Różgami wbite, co? – zaśmiała się Nadia, a zaraz potem, zmieniając temat rozmowy, zwróciła się do mojej matki z prośbą, aby przy deserze dała {jej} na kolana mojego malutkiego brata.

– Przecież pani już się bardzo zmęczyła przez cały obiad, {mówiła} prawie błagalnie.

– Nie – dość opryskliwie odpowiedziała moja matka.

<sup>45</sup> SD, tj. Socjaldemokratyczna Partia Robotnicza Rosji – taką nazwę nosiła w latach 1912–1918 partia znana potem jako KPZR (Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego). – SR, tj. Socjaliści-Rewolucjoniści.

<sup>46</sup> Fiodor I. Dan (1871–1947), jeden z przywódców mieńszewików, po rewolucji lutowej popierał Rząd Tymczasowy, występując przeciw bolszewikom.

<sup>47</sup> Iwan Rafajłowicz Goc (1882–1940), od 1906 r. aktywny członek partii Socjalistów-Rewolucjonistów; po rewolucji lutowej 1917 r. lider frakcji eserów w radzie Piotrogradu; był przeciwnikiem rewolucji październikowej.

<sup>48</sup> Czarna Sotnia – nazwa nadawana skrajnym, monarchistycznym organizacjom i kierunkom w Rosji po r. 1905, które prowadziły ostrą walkę z ruchem rewolucyjnym; po rewolucji lutowej organizacje te zostały rozwiązane.

<sup>49</sup> Od lipca 1917 W. I. Lenin zmuszony był do działań konspiracyjnych i ukrywania się najpierw pod Piotrogradem, a następnie w Finlandii; do Piotrogradu powrócił nielegalnie dopiero 10 X 1917.

<sup>50</sup> Mt 5, 44; Łk 6, 35.

Spostrzegłem, że przy tej wymianie zdań ojciec mój z jakąś przesadną uwagą przyglądał się swoim palcom.

– Bolszewicy nie tyle ze złej woli, co z głupoty topią rewolucję, więc raczej niech sami utoną – wrócił do poprzedniego tematu Iwan Aleksandrowicz.

– Choćby w morzu krwi? – zagrział Czartoryski.

– Tak, choćby w morzu krwi.

– Ty to mówisz? ty?! – zawołał do syna nauczyciel łaciny.

– Co za morze?!... do kostek nie dochodzi, {obcas} ledwie zamoczony – dolewając sobie wina powiedział Kijkow.

– Bardzo humanitarna instytucja, widzę, ta liga mieńszewicko-eserowska – mruknął Czartoryski – nie gniewajcie się na mnie, panowie, ale znam się coś {nie-coś} na spławie metali: stopień szlachetności stopu świadczy o stopniu szlachetności elementów...

– Co za stop? O czym pan mówi?! – nie na żarty zirytował się Iwan Nazariw.

– Nie ma żadnej ligi mieńszewicko-eserowskiej. Gdy psychopata zapalił dom, do którego się wprowadzili Żyd i prawosławny, to choćby {to nawet} w Kiszyniowie się działo, obaj wspólnie {szukają} wody, a także i sznurów, aby związać obłąkanego podpalacza... Ale czy z tego wynika, że ten Żyd i ten prawosławny tworzą jakiś stop?!...

– Niech się pan na mnie nie gniewa – zwrócił się z kolei Iwan Aleksandrowicz do gospodarza – ale eserzy i ich program to niebezpieczeństwo dla rewolucji o tyle tylko odmienne od maniactw bolszewickich, o ile odmienny jest piorun z chmur od prądu z dynamomaszyny... Co za chaos panuje w głowach tych wszystkich Goców<sup>51</sup>, Czernowów<sup>52</sup>, Awksientiewów<sup>53</sup>, Burcewów<sup>54</sup>... Uwielbialiście te[r]ror indywidualny, który był najgłupszą formą walki politycznej, a równocześnie, przecząc {właściwie} samym sobie – pielęgnowaliście i propagowaliście wszystkie idiotyczne utopie o idyllicznej Rosji rolniczej, Rosji ciemnego chłopka – utopie wylęgłe w biednej, nadludzkiem wysiłkiem artystycznym {zmęczonej}, starej, {zglupiałej} głowie Lwa Tołstoja, który akurat przeciwny był wszelkiemu [...] <sup>55</sup>.

[...] {i ojciec, i matka} długo wyrażali swój entuzjazm dla gry Kacmana; mnie zaś nudziły raczej i usypiały dźwięki wydobywane z wiolonczeli. Istny natomiast prąd elektryczny przeszedł przeze mnie całego, gdy pani Kijkowa poprosiła Nadię i jeszcze jedną panienkę, brunetkę o bardzo białej cerze – nie pamiętam, jak się nazywała – ażeby zaśpiewały coś razem. Obie wzbraniały się bardzo czas jakiś,

<sup>51</sup> Zob. przypis 47.

<sup>52</sup> Wiktor Michajłowicz Czernow (1873–1952), rosyjski działacz polityczny, jeden z organizatorów partii eserów, główny teoretyk partii i autor jej programu; po rewolucji lutowej wrócił z emigracji do Rosji. Był przeciwnikiem rewolucji październikowej. Od roku 1920 przebywał na emigracji; zmarł w Nowym Jorku.

<sup>53</sup> Nikołaj Dmitrijewicz Awksientiew (1878–1943), jeden z liderów partii eserów. W Rządzie Tymczasowym sprawował funkcję ministra spraw wewnętrznych; po 1918 r. był jednym z organizatorów działań kontrrewolucyjnych na Syberii; od 1918 r. przebywał na emigracji. Członek loży masonskiej.

<sup>54</sup> Władimir Lwowicz Burcew (1862–1942), publicysta i działacz zbliżony do ruchu eserów, następnie kadetów. Po rewolucji lutowej wydawał kontrrewolucyjne pismo „Obszczeje dieło”; od 1921 r. przebywał jako biały emigrant w Paryżu.

<sup>55</sup> Koniec zapisu na k. 81 II; kolejny zapis pochodzi z k. 83 II.

ale podejrzewam, że program ich występu śpiewaczego, przynajmniej jego części poważnej – {z góry} musiał być przygotowany. Śpiewały bowiem rzecz trudną: duet Lizy i Pauliny z *Pikowej Damy*. Nadia przy tym akompaniowała – nie przy klawikordzie co prawda, przy fortepianie. Na bis zaś śpiewała już sama: również z *Pikowej Damy*, francuską piosenkę starej hrabiny. Oba te śpiewane wówczas przez nią fragmenty słyszałem potem wielokroć, wykonywane w ramach całości opery – i to wykonywane przez najświetniejsze sowieckie mezzosoprana, jak Złotogorowa<sup>56</sup> i Maksakowa<sup>57</sup>. I zawsze słuchając ich wspominałem Nadie. Pamiętam – stosunkowo niedawno to było – w Kujbyszewie na jakieś dwa miesiące przed zerwaniem stosunków dyplomatycznych polsko-sowieckich<sup>58</sup> koleżanka moja z Ambasady Polskiej, z którą przyszedłem razem do Pałacu Kultury na *Pikową Damę*, szepnęła do mnie dość ironicznie: „Ale z pana historyk”, zaraz gdy tylko rozległy się pierwsze dźwięki klawikordu i {ze} sceny popłynęły na przepętnioną do ostatniego miejsca widownię słowa, przed tyłu, tyłu dziesięcioleciaми {napisane} przez Batuszkowa<sup>59</sup>: „Już wieczór... obłoków pociemniały brzegi...” Nie wiedziała, że {dlatego} mam łzy w oczach, bo myślałem o Nadieżdzie Aleksandrownie Nazariowej. Łzy zresztą miałem też i wówczas, w salonie Kijkowów: gdy Nadia wykonując przedśmiertną piosenkę starej „Wenus Moskiewskiej” urwała nagle {tekst} i niskim, wibrującym głosem nuciła już tylko – czułem, że jeszcze sekunda, a pocznę łkać na cały głos. Na moje szczęście zabrzmiały oklaski i okrzyki zachwytu, w których szumie utonęły moje łkające westchnienia; nikt ich nie dostrzegł, chyba mój ojciec tylko.

– Nadieżdo Aleksandrowna, jeszcze, jeszcze! – wołano z wszystkich kątów salonu.

– Ale coś weselszego! – zabrzmiał błagalnie bas Czartoryskiego.

– Dobrze, coś weselszego – odkrzyknęła Nadia. Była wyraźnie upojona swoim triumfem – oklaskami, okrzykami zachwytu i własnym śpiewem. Poprosiła brata, aby jej akompaniował; szepnęła mu coś do ucha. Prąd radosnego podniecenia przeszedł przez całe towarzystwo, gdy w tempie cygańskiego walca popłynęły ku wszystkim kątom salonu i za okna na ulicę wyzywająco beztroskie, jak gdyby żadnej nie było rewolucji: „Pocałunkiem daj zapomnienie... Duszę, serce uzdrów...” A gdy na wołaniu: „Pocałunkiem życie weź!”, urwała Nadia nagle tekst i znowu

<sup>56</sup> Bronisława Złotogorowa (ur. 1905 w Odessie), pochodząca z polskiej rodziny Goldbergów rosyjska śpiewaczka, alt; studiowała śpiew w konserwatoriach w Odessie i Kijowie. W latach 1929–1953 związana była z Teatrem Wielkim w Moskwie. Do najświetniejszych jej występów można zaliczyć role w *Eugeniuszu Onieginie* i *Damie Pikowej* P. Czajkowskiego.

<sup>57</sup> Maria Pietrowna Maksakowa (ur. 1902), rosyjska śpiewaczka operowa, mezzosopran; w latach 1923–1927 występowała w leningradzkim teatrze opery i baletu; w latach 1923–1953 była solistką Teatru Wielkiego ZSRR. Ciepły, liryczny tembr głosu oraz wielki talent dramatyczny wykazywała w swych popisowych rolach w *Carmen* G. Bizeta i *Borysie Godunowie* M. P. Murgskiego.

<sup>58</sup> A więc najprawdopodobniej na przełomie lutego i marca 1943. Od połowy 1942 r. Parnicki pełnił obowiązki *attaché* prasowego, a następnie mianowany został (w grudniu 1942) *attaché* kulturalnym ambasady Rzeczypospolitej Polskiej w Kujbyszewie. Zerwanie stosunków dyplomatycznych między rządami RP a ZSRR nastąpiło w kwietniu 1943, co pociągnęło za sobą ewakuację personelu ambasady na Bliski Wschód.

<sup>59</sup> Konstantin Nikolajewicz Batuszkow (1787–1855), poeta rosyjski, najwybitniejszy przedstawiciel neoklasycyzmu, piewca radości życia i miłości; autor libretta do *Damy Pikowej* Czajkowskiego (1890).



zaczęła nucić tylko głosem niskim a wibrującym, zawtórowano jej od wszystkich kanap i foteli: nuciła archeologiczka Kijkowa i łacinnik Aleksander Nazarijew, nucił kadet Czartoryski i eser Kijkow – nawet z ciężko chorych piersi mojej biednej matki wydobywał się jakiś głuchy, a przecież melodyjny dźwięk. Mnie samego poczęło ogarniać jakieś niepojęte upojenie, a trzyletni mój brat począł głośno, radośnie się śmiać.

– Nie masz, jak cygańskie romanse! – krzyknął Czartoryski – bis, bis!

Nadia bisowała i znowu wszyscy {wtórowali}, ojciec mój zaś nucił {w kółko} tę melodię i w domu, i na ulicy długi {jeszcze} czas potem, toteż po dziś, ilekroć ją slysze, natychmiast zmartwychwstają przed wzrokiem mojej pamięci obie te drogie postacie, i to zawsze razem: niechże się {więc} nie dziwi {białowłosa} Bernard Singer<sup>60</sup>, wiecznie dowcipny, wiecznie gryzący dziennikarz żydowski z Warszawy – temu, że gdy kiedyś w Ambasadzie Polskiej w Kujbyszewie nad Wołgą zanucił on niespodzianie ten właśnie romans, przerwałem jakiś wywód polityczno-historiozoficzny i zacząłem mu wtórować rwącym się, zachrypniętym głosem. Obecni myśleli, że {owa} chrypka to działanie czerwonego wina Kził Uzbek, a to było tylko wzruszenie: widziałem przed sobą Nadię i swego ojca. Zresztą powody do zdumiewania się mógł mieć nie tylko Singer, ale też Iwan Iwanowicz Biczel: w przepelnionej celi więziennej w Kustanaju<sup>61</sup> w Kazachstanie zaczął on kiedyś śpiewać „Jamszczyku, nie pędź koni...” i widocznie dostrzegł w moich oczach łzy, bo przerwał sobie śpiew, ażeby zrobić uwagę:

– No, tak, w więzieniu przede wszystkim inteligenci szarpiają sobie do reszty nerwy...

Ale tego *Jamszczyka* właśnie śpiewała Nadia na zakończenie części muzycznej uroczystego obiadu u Kijkowów – nigdy nie zapomnę {pełnego tęsknoty i żalu} spojrzenia, jakim wpiła się wprost w twarz mojego ojca, jęklonie skarżąc się przy wtórce fortepianu, że tak bardzo pragnie wśród posępnych równin zapomnieć o miłości i rozłące, ale pamięć, {władca jej} bezlitosny, wciąż i wciąż wskrzesza ponownie to, co minęło...

– Pani powinna kształcić się na śpiewaczkę operową! – krzyknął Czartoryski, zrywając się z miejsca tak gwałtownie, że aż kanapa zatrzeszczała.

– Co tam śpiew? Co tam opera?! – odpowiedziała Nadieżda Aleksandrowna, wzruszając ramionami i wzgardliwie wydymając wargi. – Jedna stroniczka ze Stendhala, nie mówiąc już o Szekspirze, więcej jest warta niż cały Czajkowski z Beethovenem razem...

– Wobec takiego oświadczenia bierzemy rozbrat z muzyką, a przechodzimy do poezji – zawołała pani domu. – Zoja Leontiewa zadeklamuje nam pierwszą część poematu Aleksandra Błoka *Na Polu Kulikowym*.

<sup>60</sup> Bernard Singer (1893–1966), dziennikarz żydowski, związany od 1916 r. z dziennikiem „Hajnt”, od r. 1925 współpracował z największym żydowskim polskojęzycznym dziennikiem „Nasz Przegląd”. Współpracował też z krakowskim syjonistycznym „Nowym Dziennikiem”, lwowską „Chwilą” i łódzkim „Głosem Porannym”. Aresztowany w Wilnie w r. 1940, został zesłany do obozu w Worskucie w republice Komi. Po amnestii 30 VII 1941 ambasador Stanisław Kot wezwał go do Kujbyszewa, gdzie Singer rozpoczął pracę w wydziale prasowym Ambasady RP. Wraz z Ksawerym Prószyńskim, Wiktorem Weintraubem i Teodorem Parnickim redagował tygodnik „Polska”. Kujbyszew opuścił 13 VIII 1942, udając się razem ze Stanisławem Kotem do Jerozolimy. Po wojnie mieszkał w Londynie.

<sup>61</sup> Kustanaj był ostatnim miejscem uwięzienia Parnickiego w ZSRR. Nie udało się ustalić bliższych informacji dotyczących Iwana Iwanowicza Biczela.

Wysoka, tęga blondyna Zoja, córka Czartoryskiego, nie miała właściwie żadnego wykształcenia, nie jestem nawet pewien, czy ukończyła szkołę elementarną. Nie powiem też, ażeby można ją było nazwać człowiekiem inteligentnym, choć i zdarzały się jej od czasu do czasu wyskoki w kierunku samodzielnego myślenia, i to nieraz daleko odbiegającego od utartych szablonów jej środowiska. Pamiętam, nie miałem jeszcze ośmiu lat, jakem usłyszał z jej ust dość ekscentryczną uwagę na marginesie faktu dość zwykłego, jak pójście jej matki – było to w niedzielę – do cerkwi.

– Ona na pewno prosi Boga, aby długo mogła żyć – a to głupota: kobieta nie powinna żyć dłużej niż dwadzieścia siedem lat. Chciałabym umrzeć, gdy tylko rozpocznę dwudziesty ósmy.

Dlaczego akurat dwadzieścia siedem – tego Zoja nie wytłumaczyła mi nigdy.

Ale ta dziewczyna bez wykształcenia i, jak zaznaczyłem – raczej mało inteligentna, była, jak się to mówi, deklamatorem z Bożej Łaski. Czarowała, porywała. Podejrzewam, że nie rozumiała w dużej części sensu deklamowanego przez siebie wiersza, ale {wiedziona niezawodnym} instynktem wrodzonego talentu nieomylnie wczuwała się w nastrój mglistych obrazów i ekspresję sugestywnego zestawienia słów. Wiedziałem już wtedy coś niecoś o bitwie stoczonej niegdyś przez księcia Dymitra Moskiewskiego z Tatarami na Polu Kulikowym nad Donem<sup>62</sup>. Sądziłem też, że ów wiersz poety, którego nazwiska nigdy przedtem nie słyszałem, będzie czymś w rodzaju znanego mi dobrze *Borodina* Lermontowa lub *Połtawskiej bitwy* Puszkina. Myliłem się: podobieństwa nie było żadnego. O samej bitwie w ogóle nic się w wierszu nie mówiło; zresztą prawie go nie rozumiałem. Odczułem jedynie nastrój graniczącej z grozą tęsknoty – przepajała też ów wiersz atmosfera {aż} niesamowitego, zawrotnego pędu. Ale gdzie pędził? kto pędził? nic nie rozumiałem. Jednakże gdy Zoja skończyła i zabrzmiały oklaski, znowu czułem się tak uspokojony, jak gdybym {wciąż jeszcze} słuchał śpiewu Nadii. Zoja bisowała i wówczas dopiero począłem chwytać nie tylko sens poszczególnych zespołów słownych, ale i wrażenie, jakie robią one na słuchaczach. Zauważyłem na przykład, że przy słowach: „I wieczny bój, spokój nam się tylko śni”<sup>63</sup> – Nadia znacząco spojrzała bratu w oczy, zaś zaraz potem {głos} Zoi, jak gdyby naprawdę łkający, runął na nas tęsknym wołaniem: „Płacz, serce, płacz!”<sup>64</sup> – oboje rodzeństwo wzięli się pod ręce i przywarli do siebie głowami. Słowa natomiast: „zachód we krwi”<sup>65</sup>, wywołały wyraźne drżenie bezkrwistych ust mojej matki.

Triumf Zoi był nie mniejszy niż Nadii. Gospodarze promienieli: wszystko udało się znakomicie. Nie obeszło się jednakże bez incydentu. Poprzez otwarte drzwi balkonu wtargnął między rozbawione towarzystwo trzeźwiący, alarmujący głos przypominającej gniewnie o swym istnieniu rewolucji. Muzyka i śpiew {lejące poprzez otwarte okna} pierwszego piętra eleganckiego domu zwabiły na chodnik, a potem i na bruk, spore wcale zbiegowisko. Do moich uszu dolatywać zaczęły

<sup>62</sup> Dymitr wydał bitwę siłom tatarskim Mamaja 8 IX 1380. Zwycięstwo wojsk ruskich na Kulikowym Polu zapoczątkowało stopniowe uniezależnienie się Rusi od Ordy.

<sup>63</sup> Początek piątej strofy wiersza *Na Kulikowym Polu* A. Błoka (*Poezje. Wybór i posłowie* S. Polłak. Kraków 1981, s. 335) brzmi w przekładzie S. Polłaka: „I wieczny bój! I we śnie tylko spokój [...]”.

<sup>64</sup> *Ibidem*, w. 26.

<sup>65</sup> *Ibidem*, w. 25.

z ulicy zrazu głucho, potem coraz to głośniejsze, niedwuznacznie groźne pomruki. W salonie powiało niepokojem, zapowiadała się panika. Mocno zdenerwowany Kijkow puścił mimo uszu radę Czartoryskiego, ażeby wprost zamknąć balkon {oraz} okna i nic sobie nie robić ze zbiegowiska; przeciwnie, nie zbliżył się do okien, ale namawiać począł wszystkich, ażebyśmy wrócili do jadalni. Nikt się jednakże nie ruszył z wyjątkiem Nadii, która wyrwała mojej matce z rąk malutkiego mego brata i poszła do sąsiedniego pokoju; jeszcze do niedawna nie mogłem zrozumieć, jak to się stało, że moja matka pozwoliła jej na to, zamiast samej z dzieckiem na ręku opuścić salon. Dziś jednakże już rozumiem: matka nie chciała wyjść, ponieważ ojciec mój nie wychodził. Raz po raz jednak spoglądała to na ojca, to na mnie z coraz to rosnącym niepokojem. Ale panowała nad sobą niezłe: dopiero w domu, po powrocie, dostała silnego ataku nerwowego. Ja sam co prawda na własne uszy rozróżniałem tylko dwa okrzyki, co się wbiły ponad pomruk utworzonego przed domem Kijkowów zbiegowiska: „Ależ i zabawiają się, panowie burżuje!” i „Precz z inteligencikami!” Matka moja jednakże opowiadała naszej Nastii, że okrzyków było znacznie więcej, że ktoś w tłumie nawoływał, ażeby wtargnąć do wnętrza domu i rozbić fortepian, ktoś inny zaś proponował, ażeby burżujów powyrzucać przez okna... Opowiadając, matka raz po raz kurczowo chwyciła mnie za głowę i mocno tuliła do siebie; ojciec uspokajał ją, jak mógł.

– Przecież wszystko dobrze się skończyło – wołał niby to wesoło, ale z miną {też} niezbyt radosną. – Zuch jednakże z tego Iwana Aleksandrowicza, prawda?!

Istotnie, to Iwan Nazariw uspokoił zbiegowisko, co więcej, zbiegłszy szybko ze schodów, poprowadził je gdzieś w górę ulicy Wielkiej Iljińskiej. Gdy do salonu wpadł z zewnątrz okrzyk: „Precz z inteligencikami!”, wszyscy poczęli nerwowo kręcić się na kanapach i krzesłach, nikt się {jednak} nie podnosił z miejsc; wszystkie miny były bardzo nieświęteczne, jedynie student z Saratowa zjadliwie się uśmiechał.

– Za dwadzieścia pięć lat będą ubóstwiali inteligentów – mruknął Iwan Nazariw.

– Ale ile przedtem krwi się poleje! – nie basem już, ale jakimś niepewnym siebie tenorkiem odezwał się Czartoryski.

– To niech się poleje. Spokoju nie ma, śni się nam tylko – zawołała od progu Nadia, stojąca w drzwiach z moim bratem na rękach.

– Poczekajcie chwilę – spokojnie powiedział Iwan Nazariw wstając. Wszyscy byli oszołomieni: Iwan Aleksandrowicz poszedł na balkon z rękoma wepchniętymi w kieszenie.

Dopiero wówczas wszczął się w salonie wielki ruch. Wszyscy wstali z foteli i kanap, szli ku drzwiom bądź jadalni, bądź gabinetu pani Kijkowej. Nadia oddała mego brata w ręce mojej matki i szybko skierowała się ku balkonowi.

Iwan Aleksandrowicz Nazariw coś mówił do zbiegowiska. Nie wiem, co. Od czasu do czasu przerywano mu z ulicy okrzykami, spośród których najczęstszy brzmiał: „Właśnie tak!” Mówił może z dziesięć minut. Zakończył okrzykiem: „Cała władza Konstytucji!” Odkrzyknięto mu: „Niech żyje Konstytuanta!” Kilka razy krzyknięto. Domagano się, by dalej mówił. Ale on już zbiegał na dół, formował pochód.

– Pierwszorzędny agitator – mruknął Czartoryski, rozglądając się za winem.

– Pierwszorzędny agitator – słowo w słowo powtórzył po trzech mniej więcej miesiącach Birman, spotkawszy mnie w wypożyczalni książek w Domu imienia

Aksakowa i zacząwszy nagle ni z tego, ni z owego mówić o całej rodzinie Nazariewów. Dopiero gdym skończył już w katalogu przeglądać cały długi wykaz powieści Juliusza Vernego – zorientowałem się, o co Birmanowi chodzi: sugerował mi, ażebym namówił rodziców na zaproszenie do nas na kolację równocześnie i Iwana Nazariewa, i jego samego. Obiecywał przynieść z sobą cukier i kiełbasę. Nie mogłem zrozumieć, o co mu właściwie chodzi; żądanie jego wcale nie budziło we mnie zachwyty. Odkąd zorientowałem się, że Nadia nie jest za bolszewikami, ochłodziłem ogromnie i dla Birmana, i dla hasła: „cała władza sowietom”. Śmieszyły mnie jego nowe okulary, oprawne w szary drut – „wcale go nie lubię”, mówiłem sobie coraz to częściej. Z miną pełną dostojeństwa przyrzekłem mu interwencję, z góry będąc przekonany o jej fiasku; jakież było moje zdumienie, gdy dwa dni później ojciec zapytał mojej matki, czy nic by nie miała przeciw temu, gdyby on zaprosił {któregoś dnia} do nas na kolację trzy osoby. Te trzy osoby to Iwan Nazariew, Birman i Aleksy Iwanowicz Świderski, kolega biurowy ojca, ów z kozią bródką!... Matka zrazu oponowała gorąco, wreszcie przystała, ale pod warunkiem, że ponieważ nie czuje się na siłach robić honory domu, pojedzie dorożką na Uspieńską do Czartoryskich, zabierając z sobą obu chłopców. Zacięcie się przeciwstawiłem temu wnioskowi: byłem ogromnie zaintrygowany owym spotkaniem trzech – wiedziałem, że Nazariew nie kłania się Świderskiemu i nigdy nie widuje się z Birmanem. Miałem świetny pretekst: przygotowywałem się do gimnazjum i w domu z ojcem przerabiałem cały kurs pierwszego półrocza pierwszej klasy, nie mogłem bowiem zostać przyjęty z początkiem roku, nie mając ukończonych dziesięciu lat. Oświadczyłem więc matce, że jeżeli będę spędzał wieczory z chłopcami Czartoryskiego, nie zdołam poradzić sobie ani z geografiami, ani z koniugacją czasowników rosyjskich, a tym bardziej niemieckich – nie wiem, czy przekonałem ją rzeczywiście, czy też nie czuła się na siłach walczyć ze mną: w każdym razie ustąpiła. Wzięła jednak ze mnie słowo, że zjem kolację w sypialni, a nie z gośćmi w jadalni, i że będę {przez cały wieczór} na głos odmieniał wszystkie czasy od „*nehmen*” i „*können*” albo na głos też uczył się na pamięć bajki Kryłowa *Kot i kucharz*<sup>66</sup>. Pierwszej obietnicy dotrzymałem; drugiej – nie. Pamiętam, że w czasie kolacji z gośćmi ojciec raz po raz uchylał drzwi do sypialni i pytał: „Co ty robisz?” Odpowiadałem, że układam tablice koniugacyjne – raz formy dokonanej czasownika, to znów strony biernej. W rzeczywistości zaś nie wyszedłem poza trzecią osobę liczby mnogiej czasu teraźniejszego strony czynnej: wsłuchiwałem się w rozmowę trzech.

Byłoby kabotyństwem z mojej strony twierdzić, że rozmowa ta dosłownie brzmiała akurat tak, jak ją tu zapisuję, ale mogę z całym poczuciem odpowiedzialności zapewnić, że odchylenia dotyczą jedynie formy – zbyt wielkie bowiem zrobiła na mnie ta rozmowa wrażenie, ażeby się nie stać jednym z najżywszych wspomnień moich z całego okresu rewolucji. Oczywiście, nie mogę brać odpowiedzialności za obiektywną polityczną wartość podsłuchanej przeze mnie wymiany zdań – osobiście jednakże wiele się {czego} z tej podsłuchanej rozmowy nauczyłem. Czytając po latach w więzieniu sowieckim dzieła Marksa i Lenina nieraz konfrontowałem to, com przeczytał, z zapamiętanymi przez siebie sądami Nazariewa, Birmana i Świderskiego; uważam się jednak za tak mało kompetentnego w dziedzi-

<sup>66</sup> Z księgi III bajek I. A. Kryłowa.

nie polityki, że nie ośmielam się wydawać wyroków o stopniu zbieżności {czy też niezgodności} też wygłaszanych przez tamtą trójkę z teoriami budowniczych naukowego socjalizmu. Wyrokowanie pozostawiam tym, którzy będą te moje wspomnienia o Iwanie Nazariem czytali. Zaznaczę jedynie, że gdy tylko spotkam ponownie Iwana Nazarię – a {jestem pewien}, iż go {znów} spotkam, i to niezadługo – jemu pierwszemu dam do przeczytania i do skontrolowania ten oto poniższy tekst (można by powiedzieć: protokół) rozmowy trzech.

N a z a r i e w (*do swojego ojca*): Cóż to za niespodzianka? Bierze pan udział w jakichś spiskach, knutych przeciw mojej osobie?

M ó j o j c i e c: Aleksy Iwanowicz prosił mnie o zaaranżowanie w moim domu tego spotkania – nie mogłem odmówić koledze.

Ś w i d e r s k i: To było zaaranżowane dla {pańskiego} dobra, Iwanie Aleksandrowiczu...

N a z a r i e w: Czy nie prościej byłoby mówić, jak dawniej: towarzyszu Nazariem?

Ś w i d e r s k i: Nie jestem pewien, czy jesteście dla nas towarzyszem, Iwanie Aleksandrowiczu.

(*Dłuższa chwila ciszy. Brzęk tyżeczek, mieszających cukier w herbacie.*)

B i r m a n: Towarzysz Świderski słusznie powiedział: to spotkanie zaaranżowane zostało dla waszego dobra... w trosce o waszą przyszłość...

N a z a r i e w: Dziękuję za troskę. Ale ja nie mam dziesięciu lat, sam potrafię myśleć o swojej przyszłości.

(*Znowu pauza, tym razem znacznie krótsza.*)

B i r m a n: Czy pójdziecie z nami?

N a z a r i e w: Dokąd?

B i r m a n: W socjalistyczne Jutro. Już jest bliskie.

N a z a r i e w: Dla mnie dzień nadejścia socjalizmu to Pojutrze.

B i r m a n: A co {ma być} jutro?

N a z a r i e w: Parlamentarna demokracja z potężną grupą socjalistyczną na lewych ławach Dumy. A co jeszcze? Rozwój przemysłu, przyływ kapitałów z zagranicy, przetworzenie się ciemnego {chłopka} rosyjskiego w uświadomionego politycznie robotnika...

Ś w i d e r s k i: A potem?

N a z a r i e w: Przejęcie środków produkcji przez proletariat.

B i r m a n: Czy drogą rewolucji?

N a z a r i e w (*niepewnie*): Możliwe, że drogą rewolucji...

Ś w i d e r s k i: Co to znaczy: możliwe? Czy widzi pan inną jeszcze drogę?

N a z a r i e w: Widzę. Burżuazja, sterroryzowana przez samą groźną postawę proletariatu i bezradna w obliczu chaosu, jaki wywoła kapitalistyczna gospodarka środkami produkcji, bez walki odda te środki w ręce proletariatu...

Ś w i d e r s k i (*śmiejąc się*): Jak z książki czyta. Od razu poznać syna nauczyciela gimnazjalnego...

N a z a r i e w: Proszę tylko bez osobistych wycieczek...

B i r m a n: Czemuż by nie? Chcemy mówić z panem właśnie o panu osobście. Pan nawoływał trzy tygodnie temu na mityngu do kontynuowania wojny, to prawda?

N a z a r i e w: Nawoływałem. I nadal będę nawoływał.

B i r m a n: To nadzwyczajne! Rok temu {jeszcze} agitował {pan} wśród jeńców niemieckich przeciw wojnie... mówił pan, że nie mamy – ani my, ani oni – o co się z sobą bić...

N a z a r i e w: To było przed obaleniem caratu. Wówczas istotnie nie było o co się bić. Teraz zaś jest o co: demokratyczna republika rosyjska przede wszystkim potrzebuje rozbudowy przemysłu, potrzebuje francuskich i angielskich kapitałów... Jeżeli wycofamy się z wojny, ani Anglicy, ani Francuzi grosza nam nie dadzą...

B i r m a n: Weźmiemy sobie sami...

N a z a r i e w (*ironicznie*): A jakże to?

B i r m a n: Bardzo zwyczajnie. Da nam je proletariat francuski i angielski...

Ś w i d e r s k i: I niemiecki...

N a z a r i e w: Na razie ten proletariat nie tylko nie dysponuje kapitałami, ale zdycha od szrapneli<sup>67</sup> i wszy w okopach...

B i r m a n: Będzie dysponował kapitałami, gdy zrobi u siebie rewolucję socjalistyczną...

N a z a r i e w: Niechże więc ją robi.

B i r m a n: Nie zrobi, dopóki nie będzie ustroju socjalistycznego w Rosji.

N a z a r i e w: To będzie czekał stulecie.

Ś w i d e r s k i: Dziesięć dni.

N a z a r i e w: Ależ wy jesteście maniacy – dawno to twierdzą. Z kim będziecie robili ustrój socjalistyczny? Gdzie macie w Rosji proletariat? Macie mrowie chłopków, co marzą nie o żadnym socjalizmie, tylko o dłubaniu prapradziadowską sochą w skraweczku ziemi, byle własnej, włościańskiej.

Ś w i d e r s k i: Właśnie razem z tymi chłopkami i będziemy robili socjalizm...

N a z a r i e w (*śmiejąc się*): Aha, sojusz z lewymi eserami... No cóż, za rok lewoeserowski chłopiek zadławi was swoją masą... Zeżrą was, dokumentnie, aż do gładkiej kości, jak owo mrowie myszy w wierszu Żukowskiego<sup>68</sup> o biskupie Hattynie... Co wy robicie?!... Czy jesteście ślepi?!... Z Lwem Tołstojem idziecie budować socjalizm!!... Nie śmieście się... Chłopiek rosyjski to urodzony roussoista i tołstojowiec: on nie chce postępu, nie chce techniki... on po kres systemu słonecznego chce w łapiach dreptać z sochą po pradiadowskiej skibie... on kocha nawóz, a wy go chcecie postawić przy Dynamo... Ucieknijcie, ale przedtem zniszczcie wasze Dynamo...

B i r m a n: Ładnie pan mówi, Plechanow by się cieszył, ale szkoda czasu... Jednym słowem, chce pan kapitalizmu w Rosji?

N a z a r i e w: Jeszcze przez dwadzieścia lat – tak, chcę. Chcę, żeby Rosja, ze swymi olbrzymimi bogactwami naturalnymi, stała się pierwszą potęgą kapitalistyczną świata... A tam, gdzie najpotężniejszy będzie kapitalizm, najwspanialej na jego ruinach zakwitnie socjalizm... Tylko zaczekajcie trochę: jeszcze dwadzieścia lat... piętnaście...

B i r m a n: Nie będziemy czekać.

<sup>67</sup> Takie pociski artyleryjskie, wypełnione kulkami, rozpryskujące się w dowolnym miejscu toru lotu, używane były od połowy XIX w. do pierwszej wojny światowej. Tu w znaczeniu potocznym: 'odłamek pocisku'.

<sup>68</sup> Wasilij Andriejewicz Ż u k o w s k i (1783–1852), od 1818 r. przez 20 lat był wychowawcą dzieci rodziny carskiej. Odegrał wybitną rolę w rozwoju poezji rosyjskiej. W twórczości jego wyróżnić można nurty klasycystyczny, sentymentalistyczny i preromantyczny. Był m.in. twórcą wierszowanych bajek epickich oraz autorem przekładów *Odysei* (1849) i *Mahabharaty* (1858). Zmarł w Baden-Baden.

N a z a r i e w: No, to będzie, jak już powiedziałem... Bóstwo tołstojowskie, Płaton Karatajew, i dziad Jeroszka kosteczki jednej z was nie zostawią...

B i r m a n: Z kogo: z nas?

N a z a r i e w: Z was, bolszewików rosyjskich.

Ś w i d e r s k i: Pan się myli. My – to nie tylko bolszewicy rosyjscy... my – to proletariat całego świata...

B i r m a n: Na nasze wołanie przyjdzie inteligentny robotnik niemiecki czy amerykański i jeśli trzeba, to weźmie Płatona Karatajewa...

N a z a r i e w: Za kark, a może i za gardło, tak?!

B i r m a n: Niech będzie: tak. Pan myli się myśląc, że ja kocham {dziada} Jeroszkę tak, jak go kocha jakiś tam lewoeserzyna... On mi jest potrzebny, żeby ponad bezmiar oceanu kapitalistycznego, zalewającego cały nasz glob, wyłoniła się wysepka, na której proletariusz z Chemnitz czy Detroit mógłby postawić nogę... Z tej {wysepki, z tego} szanica będzie mógł walić piorunami, których elektryczność rozładuje atomy wody oceanu...

N a z a r i e w: Chaotyczna metafora, jak całe wasze myślenie... Ale dość przejrysta: dla was socjalizm w Rosji to tylko punkt zahaczenia...

B i r m a n: Oczywiście. Kochamy socjalizm jako taki, nie tylko Rosję socjalistyczną...

N a z a r i e w: Ale ja kocham i socjalizm, i Rosję! Ja chcę socjalizmu zbudowanego przez Rosjan... Nie chcę – słyszycie? – nie chcę, żeby Fryc czy Jim chwycił Płatona czy Jeroszkę za gardło... choćby nawet chwycił go ręką całą czerwoną od krwi kapitalistów... Ja chcę, żeby Płaton i Jeroszka przestali być troglodytami... żeby się stali uświadomionym, {inteligentnym} i twórczym, i władającym olbrzymią potęgą sił produkcyjnych proletariatem... chcę, żeby to oni {przynieśli} Frycowi i Jimowi wolność i szczęście socjalizmu, nie odwrotnie... Ale na to mi trzeba dwudziestu lat!

Ś w i d e r s k i: Więc nie idzie pan z nami?

N a z a r i e w: Nie.

Ś w i d e r s k i: Szkoda. Pan jest niezłym w zasadzie – choć i spaczonym, teoretykiem marksizmu: tacy nam potrzebni... Umie pan porwać tłum: takich też dla nas nigdy nie za wiele... Pójdzie pan z nami, zobaczy pan realizację socjalizmu – a nie pójdzie pan...

N a z a r i e w: Zobaczą murek, przy którym rozstrzelują?... Nie boję się.

Ś w i d e r s k i: Niech pan nie histeryzuje. My nie wyznajemy zasad *Ewangelii*, nie twierdzimy: „Kto nie z nami, ten przeciw nam”<sup>69</sup>...

B i r m a n: Przynajmniej na razie.

Ś w i d e r s k i: Więc jeśli nie wystąpi pan przeciw nam, nic panu nie zrobimy. Pański ubóstwiany mistrz Plechanow też nie pójdzie z nami, ale nie pójdzie też i przeciw nam – jesteśmy tego pewni – więc mu nikt z nas żadnej nie zrobi krzywdy. Pewnie i pan {też} dożyje sędziwych lat: ale jeżeli rzeczywiście chciał pan odegrać jakąś rolę w budowaniu socjalizmu, nie zazdroścę panu samopoczucia, jakie pan będzie miał na stare lata: czy zna pan bajkę o musze, co spędziła zimę za piecem, a gdy wywlokła się na wiosnę, znalazła się wśród nowej generacji much? Nikt jej nie znał, wszystkie nią pogardzały...

<sup>69</sup> Ewangelijna zasada brzmi: „Kto nie jest przeciwko nam, ten jest z nami”. Zob. Mk 9, 40; Łk 9, 50.

B i r m a n: Mylicie się, towarzyszu Świderski. Pan Nazariew nie przetrzyma zimy za piecem: pójdzie przeciw nam...

Ś w i d e r s k i: Z kim?

B i r m a n: Z pierwszym lepszym czarnosocińcem <sup>70</sup>.

Nazariew się zaśmiał. Ale Birman słusznie przewidywał. Nie minęły dwa lata, a zobaczyłem Iwana Aleksandrowicza, jak w malinowych ze złotymi wypustkami spodniach jedzie na czele konnego oddziału annienkowców <sup>71</sup> po ulicy Skorbiaszczeńskiej w stolicy „białej” Syberii, Omsku. Razem z żołnierzami śpiewał na nutę romansu cygańskiego *Białe akacje*, w szybszym tylko tempie:

{Śmiało} pójdziemy w bój  
Za Ruś świętą  
I za nią przelejemy  
Krew młodą...

Nie dostrzegł mnie, a ja nie miałem odwagi wołać na niego. Przyszedłszy do domu opowiedziałem ojcu i bratu o tym spotkaniu – nie zaskoczyłem ojca: dawno już wiedział, że Iwan Nazariew uchodzi za jedną z najcenniejszych zdobyczy, jakimi się szczycił wydział propagandy politycznej dla żołnierzy w głównym sztabie armii Kołczaka <sup>72</sup>.

Wyobrażam sobie, że droga Iwana Aleksandrowicza od sali kinowej, gdzie zrywał z siebie oficerskie naramienniki, do budynków sztabowych opodal ujścia Omi do Irtyszu długa była, zawila i często bolesna bardzo. Znam początkowe stadium tej drogi: chodziłem już wówczas do gimnazjum i często spotykając na korytarzach starego Nazariewa, dokładnie wypytywałem o Iwana Aleksandrowicza i Nadię. Nie widywałem ich bowiem wcale: matka moja, coraz ciężiej chora, żyła w ciągłym strachu, że mógłbym znaleźć się w domu Nazariewów akurat w chwili, kiedy by się zjawili tam czerwonogwardziści z nakazem aresztowania, podpisanym przez Sowiet miasta Ufy. Kazała więc Nastii śledzić każdy mój krok, a gdy zaalarmowana stanem zdrowia mojej matki ciotka Antonina przysłała {z Niżnego Nowogrodu} memu ojcu a swemu bratu dla pomocy w gospodarstwie domowym najstarszą swoją córkę, Barbarę – w ogóle nie wychodziłem już z domu sam. A że niepokój matki i mnie się udzielił, wciąż drżałem, że przyszedłszy do gimnazjum usłyszę z ust starego łacinnika wiadomość o zaaresztowaniu jego dzieci. Ale wiadomości wciąż były dobre, aresztowań zresztą w ogóle w Ufie nie było dużo; widocznie Świderski nie mijał się zasadniczo z prawdą mówiąc, że zwycięscy bolszewicy nie będą traktować tych, co nie są z nimi, na równi z tymi, co idą przeciw nim. Ufa z pierwszego okresu władzy sowieckiej wcale nie przypominała opisów

<sup>70</sup> Zob. przypis 48.

<sup>71</sup> Określenie utworzone przypuszczalnie od nazwiska Jurija P. A n n i e n k o w a (1889–1974, portrecysta, scenografa, filmowca, autora znanych portretów słynnych działaczy bolszewickich, który przed wyjazdem na emigrację prawdopodobnie walczył w szeregach armii Kołczaka.

<sup>72</sup> Aleksandr W. K o ł c z a k (1873–1920), admirał rosyjski, w czasie pierwszej wojny światowej dowódca floty czarnomorskiej; po rocznym pobyciu w USA i Japonii, gdzie był delegatem Rządu Tymczasowego, powrócił w listopadzie 1918 do Rosji i wszedł do utworzonego w Ufie rządu kontrrewolucyjnego jako minister wojny i marynarki; jeden z głównych organizatorów kontrrewolucji w Rosji w latach 1918–1920, od 1 XII 1918 faktyczny dyktator. Armie Kołczaka zajmowały Syberię i Ural, a w marcu 1919 doszły nad Wołgę; ich działania odznaczały się okrucieństwem (biały terror). Aresztowany i rozstrzelany 20 II 1920 na podstawie wyroku rewolucyjnych władz w Irkucku.



sowieckiego Kaukazu z powieści Stefana Żeromskiego *Przedwiośnie*, którą przeczytałem w osiem czy dziewięć lat później.

Oboje młodych Nazariewów zobaczyłem ponownie dopiero na pogrzebie mojej matki: umarła w maju 1918. Szli aż na sam cmentarz, ale trzymając się dosyć daleko od czoła żałobnego pochodu. Również i po pogrzebie – inaczej niż Czartoryski z córką – nie towarzyszyli nam do domu, od razu poszli do siebie. Przyznam się, że myśl moja zadziwiająco mało krążyła wówczas wokół osoby Nadii: przyznam się też, że przyczyną tego nie był tylko nastrój, {wywołany} śmiercią matki – nastrój bardzo bolesny, mimo że zgon ten dla nikogo z nas nie był ciosem niespodziewanym – przygotowaniśmy byli nań od dawna. Ale do smutku i żałoby przyłączyła się u mnie ponowna fala wielkiej czułości dla Iłły Watzke: {całe popołudnie} czekała {cierpliwie} przy bramie na nasz powrót z cmentarza; a gdym mijiał ją, zbliżyła się do mnie, wzięła obie moje ręce w swoje i ze łzami w oczach szepnęła:

– Tak mi ciebie żal. Ale wiedz, że ja cię bardzo, bardzo lubię.

Ten nawrót uczuć moich do Iłły miał się niebawem wcale poważnie zmanifestować nie tylko w wieczornych rozważaniach na temat zbyt wielkiej różnicy wieku między mną a Nadią Aleksandrowną, ale przede wszystkim w wyczynie niezwyklej doniosłości: na prośbę Iłły i jej siostry przeszedłem się z nimi, jak i one boso, aż do żółtego gmachu Sądu Okręgowego, sponad bramy którego właśnie strącano młotami obie głowy i skrzydła białego gipsowego orła. Czułem się, co prawda, bardzo nieswojo, ale wytrwałem w swym bohaterstwie tak dalece, że {nawet} zaofiarowałem się pójść jeszcze dalej: przejść szeroką ulicę Zmartwychwstania i w sklepiku na rogu Archijerejskiej kupić dla Iłły cukierki. Ale nadeszła właśnie kuzynka Barbara i zabrała mnie do domu na obiad.

Nie wiem, czy to rzeczywiście prawda, ale Barbara i Nastia twierdziły, że ten mój wyczyn stał się sensacją dnia dla całej naszej – krótkiej, co prawda – ulicy Sadowej. Wprawiło mnie to, oczywiście, w stokroć większe zażenowanie. Podejrzewam, że to matka Jadzi i Iłły, która przecież powiedziała nawet kiedyś mojej matce, że ona mnie w ten sposób wypacza, zasugerowała swym dziewczynkom, ażeby mnie namówiły do próby przełamania w sobie oporów przeciw chodzeniu boso. Tak czy inaczej, zrobiłem dla Iłły to, czegom nie zrobił na rozkaz Nadii Aleksandrowny; ze smutkiem i wyrzutem myślę też dziś, iżem się pokalał wówczas nielojalnością w stosunku do zmarłej matki. Co prawda, jednorazowa to była nielojalność; to, że owego lata jeszcze dwukrotnie wyszedłem boso na podwórze, odmienny zupełnie miało charakter, i myślę, że nawet matka by mi to wybaczyła. {Było to tak:} kierowałem inscenizacją {niektórych ustępów z *Iliady*}, którą właśnie czytałem w przekładzie Gniedicza<sup>73</sup>. Iłła była Heleną, Jadzia Ateną, mój czteroletni brat Parysem, Antoś Watzke bodajże Agamemnonem, a ja wszystkimi innymi na zmianę postaciami. Oczywiście zgodnie z rysunkami w tekście książki wszyscy występowaliśmy boso, chłopcy zaś {przy tym} w {starych} pończochach z odciętą stopą, imitujących nagolenniki. Pomimo jednak historycznego uzasadnienia raz po raz odczuwałem duże zażenowanie: Nadia, którą specjalnie zaprosiłem na to przedstawienie, patrzyła na moje nogi ze złośliwym uśmiechem, a gdy przeniosła wzrok na moją twarz, uśmiech jej stawał się jeszcze bardziej {zjadliwy}. Po przedstawieniu powiedziała mi:

<sup>73</sup> Oddany rosyjskim heksametrem przekład *Iliady* dokonany przez Nikołaja Iwanowicza Gniedicza (1784–1833) opublikowany został w 1829 roku.

– Odprowadź mnie do domu, dobrze? – ale gdym z radością przystał, dodała warunek: – Pójdziesz boso.

{Omalże} się {nie rozpląkałem} – pamiętam to dobrze. Konflikt między oporami, wpojonymi przez matkę, a pragnieniem, [by] być powolnym życzeniu Nadii, niesamowicie przerastał moją wytrzymałość nerwową. Zacząłem błagać Nadieżdę Aleksandrownę, ażeby mi pozwoliła towarzyszyć sobie w bucikach i skarpetkach. Okazała się wspaniałomyślną; szalałem z radości, ale przedwcześnie: chciałem przecież być z nią sam na sam, a oto kuzynka Barbara oświadczyła, że pójdzie z nami albo ona sama, albo Nastia: przysięgła bowiem mojej matce {w przeddzień jej śmierci}, że dopóki w mieście panuje niepokój, nie pozwoli mi chodzić po ulicach, poza Sadową, bez opieki – musi więc ktoś mnie przyprowadzić od Nazariewów.

Poszła z nami Nastia. W pewnym momencie zobaczyliśmy wielkie zbiegowisko ludzkie po przeciwnej niż ta, którąśmy szli, stronie ulicy. Zbiegowisko to rosło i rosło bez końca. Usłyszałem trzask wyłamywanej furtki, potem brzęk szkła. Gdyby była ze mną kuzynka Barbara, na pewno by chwyciła mnie za rękę i poczęłaby szybko się oddalać od miejsca, gdzie wyraźnie zanosilo się na jakiś grubszy ruch. Ale Nastia zatrzymała się, gapiła się zaciekawiona; Nadieżda Aleksandrowna też przystanęła – była straszliwie blada.

– Toż to dom Itinów – szepnęła. – Co się tam dzieje?

– Wolny lud karze krwiopijcę – odezwał się jakiś żołnierz, mały, płaskonosy, z trzema tylko palcami u prawej ręki.

– Samosąd czynią nad panem adwokatem przysięgłym, Itinem – głośno biadała jakaś staruszka.

Z tamtej strony ulicy dochodziła coraz głośniejsza wrzawa, niebawem usłyszałem rozpaczliwy kobiecy krzyk. Za mały byłem, nie mogłem widzieć, co się dzieje – ale poczyniło mnie ogarniać przerażenie: przywarłem do Nadii, a ona zaczęła silnie tulić mnie do siebie – siostrzanym, nie, matczynym ruchem ręki...

– Kazali mu podnieść ręce ponad głowę, nie pozwalają zasłaniać twarzy – monotonna referowała Nastia.

Silnie zmrużyłem oczy: nie chciałem nic widzieć.

– Och, jak biją... och, jak biją... a on nie krzyczy, charczy tylko – wciąż brzęczał wokół mnie, niby mucha, głos Nastii.

I znowu rozległ się okropny kobiecy krzyk.

– Czego wrzeszczy? Przecież nie ją biją – mruknął żołnierz z trzema palcami u prawej ręki.

– Ale coś nie słyhać, żeby panienka córeczka skamlała – zapiszczał ktoś na prawo ode mnie.

– Nie usłyszycie, jak skamle, ale poczujecie, jak ugryzie – rozległ się nagle głos Nadii. Otworzyłem oczy, odważyłem się spojrzeć na tamtą stronę ulicy: w oknie powyżej kotłującego się tłumu stała koleżanka Nadii, córka Itina: straszna to była twarz, ale spokojna zupełnie, nieruchoma, martwa jak gdyby.

– Chodźmy stąd – krzyknęła do mnie i do Nastii Nadia.

Najwyższy już był czas, bo wokół zaczynano wobec Nadii przybierać wrogą postawę. Szliśmy szybko, Nadia prawie biegła – gryzła sobie wargi, z oczu kapały jej łzy. Na rogu ulic Centralnej i Puszkina {z rozpędu} wpadliśmy wprost na Iwana Nazariewa: Nadia kurczowo chwyciła go za rękaw, zaczęła opowiadać rwącym

się, chrapliwym prawie głosem... W pewnym momencie brat przerwał jej ze smutnym, posępnym uśmiechem:

– A gdyby to do nas należała władza, nigdy by tego nie było? Spojrzała na niego z gniewem, z bezgraniczną pogardą.

– To nieważne – zawołała. – Nie o to chodzi.

– A o co?

– Pamiętasz Błoka *Pole Kulikowe*? Wieczna walka! Spokój nam tylko się śni...

– Pamiętam – głucho a z zaciętością odparł Iwan Aleksandrowicz. – Masz rację. Jam nie tołstojowiec.

Nie rozumiałem, co znaczyły te słowa. Ale znaczenie ich zaczęło mi się powoli odkrywać w miarę biegu wypadków. W {kilka} tygodni później stary Nazariew wywołał mnie z klasy i polecił zapytać ojca, czy Nadia może przenocować u nas jedną noc. Matka moja, gdyby żyła, prawdopodobnie {za nic by się na to} nie zgodziła, ale ojciec przystał {od razu}: zaraz po zapadnięciu zmroku Nadieżda Aleksandrowna zjawiała się u nas z małą walizeczką w rękę i natychmiast zabrała się do gospodarskich porządków, jako że kuzynka Barbara czuła się niezdrowa i od obiadu nie wstawała z łóżka. {Opowiedziała} szeptem, ażeby Nastia nie słyszała – iż poprzedniej nocy przyszli aresztować jej brata, ale nie zastali: wyjechał z Ufy.

– Kiedy wróci? – wyrwało się {mnie} zupełnie wbrew woli.

Nadia zaśmiała się.

– To tajemnica, ale tobie powiem: wróci z Czechosłowakami.

– Z jakimi Czechosłowakami? – krzyknąłem zdumiony.

– Ciszej... Zobaczysz, z jakimi...

– Kiedy zobaczę?

– Może za tydzień, może jutro...

Nadia rozebrała mojego brata, niskim, wibrującym głosem długo śpiewała mu kołysankę, tę, do której słowa napisał Lermontow. Ojciec mój nie odzywał się prawie wcale przez cały wieczór: na cienkim pergaminowym papierze kreślił coś i obliczał. Ja usiłowałem czytać o kapitanie Nemo i „Nautilusie”, ale absolutnie nie mogłem się skupić: myślami i wzrokiem wciąż byłem przy Nadii. Cerowała coś z mojej bielizny.

Nasze mieszkanie na {ulicy} Sadowej pod numerem piątym niewiele przypominało czteropokojowy, {wcale} elegancki apartament, jakiśmy odnajmowali w Moskwie. Składało się – poza kuchnią i spiżarką – z jednego olbrzymiego pokoju, przedzielonego przepierzeniem na dwoje, i drugiego malutkiego, istnej komórki. Za {przegródką} leżała kuzynka Barbara – tam też miała spać Nadia. Moje łóżko stało tuż przy przepierzeniu: w małym pokoiczku dawno już zgasła naftowa lampa, ojciec położył się {tam} na kanapie, a ja wciąż nie spałem; z silnie bijącym sercem wsłuchiwałem się w miarowy szelest bosych nóg po tamtej stronie przepierzenia: Nadia też się nie kładła. Ale jak ona mogła wiedzieć, że ja nie śpię?! A wiedziała: usłyszałem bowiem nagle jej szept, przy czym wcale {nie były to} zwykłe słowa {dowiadywania się}, czy ten ktoś, do kogo się w nocy zaczyna mówić, istotnie nie śpi. Nie – od razu, bez żadnego wstępu, zapytała mnie:

– Cieszysz się, że tu jestem?

Nie od razu zdołałem z siebie wykrztusić, jak bardzo, bardzo się cieszę...

– Czy chciałbyś, żebym na zawsze pozostała w waszym domu? Biedna Nadia! Nie spełniły się jej przepowiednie, że nadejdzie taki czas, gdy władna będzie roz-

kazać mi chodzić boso. Wprawdzie nie minął jeszcze rok 1918, a ojciec mój ożenił się już powtórnie, ale nie z nią.

Nie wiem, jaką macochą okazałaby się Nadieżda Aleksandrowna Nazariewa. Może nie byłaby dla mnie lepsza niż Maria Michajłowna. Ostatecznie kiepskie stosunki między mną a kobietą, która zajęła miejsce zmarłej matki, kształtowały się głównie na tle walki o uczucie mego ojca. Więc chyba i z Nadią, gdyby została żoną mego ojca, takie same toczyłbym walki. Ale ponieważ to, czego nie ma, z reguły wydaje się być lepsze od tego, co się naprawdę zrealizowało – długie, długie lata żywiłem do ojca – nawet oddalony od niego o tysiące kilometrów – żał o to, że poślubił Marię Michajłownę, nie Nadieżdę Aleksandrowną. Mimo że było w Nadii coś, co mię przerażało, odpychało nawet.

Gdy istotnie – zgodnie z jej przepowiednią – weszły do Ufy oddziały czechosłowackie, likwidując władzę sowiecką – dowiedziałem się od kuzynki Barbary rzeczy o Nadii naprawdę niesamowitych. Rzekomo brała udział w samosądzie tłum nad rannym czerwonogwardzistą, bijąc go – leżącego już na ziemi – metalowym końcem parasolki. Relację tę traktuję dziś z wielkim sceptycyzmem: kuzynka Barbara nie lubiła Nadieżdy Aleksandrowny. Prawdopodobniejsze natomiast wydaje się być opowiadanie Nastii o strzelaniu z wysokiego brzegu do uciekającego w łódce przez rzekę Białą jednego z komisarzy: może był to Aleksy Iwanowicz Świderski, może Eskin – nie pamiętam. W każdym razie Iwan Aleksandrowicz Nazariew z białą opaską na ramieniu stał z rewolwerem na brzegu, otoczony gromadą starszych gimnazjalistów: celował do mknącej ku przeciwnemu brzegowi łódki. Ale póki znajdowała się w zasięgu strzału, nie naciskał cyngla.

– Tchórzysz?! – w pasji krzyknęła stojąca obok Nadia. – Już nie pamiętasz: wieczna walka! spokoj nam tylko się śni!!

Wyrwała mu z ręki rewolwer, wystrzeliła – oczywiście nie trafiła.

Po południu padał deszcz. Pani Kijkowa przyszła po mego ojca, ażeby go zabrać na wielkie zgromadzenie w sali Rady Miejskiej. Na rogu Iljińskiej i Centralnej spotkaliśmy Nadię – miała na ramieniu białą opaskę.

– Sama przyroda zmywa dokładnie ślady po bolszewikach – zawołała ze śmiechem.

Ale spotkany przy aptece Bomsteina ojciec jednego z moich kolegów gimnazjalnych – choć podobno kadet – nie podzielał jej radości.

– Kalifowie na godzinę – mrucał co chwila.

W miesiąc czy półtora później Iwan Nazariew wyjechał do Samary na wielki zjazd międzypartyjny, mający obradować nad projektem stworzenia rządu antybolszewickiego. Wrócił rozpromieniony. Z zapałem opowiadał, jak to eserowiec Awksientiew wołał w ceremonialnej auli samarskiej Rady Miejskiej:

– Nie wiemy, co czeka Rosję w przyszłości, ale jedno wiemy: władza sowiecka do Samary nigdy nie wróci.

Słowa te przypomniałem Iwanowi Aleksandrowiczowi dokładnie w dwadzieścia pięć lat później!<sup>74</sup>

{A jednak}, pomimo tych entuzjasmów, a nawet pomimo białej opaski na ramieniu, zbyt wielkim byłoby uproszczeniem mówić o Iwanie Nazariewie: biało-

<sup>74</sup> Uwaga ta sugeruje, iż Parnicki musiał widzieć się z Iwanem Aleksandrowiczem Nazariewem w 1943 roku.

gwardzista. Kiedyś – było to już po wyjeździe {kuzynki Barbary} do Niżnego Nowogrodu (jak ona przedostała się przez front {wojny domowej}, zawsze to pozostawało dla mnie zagadką) – Nadia z bratem przyszli do nas na kolację: Nadia gospodarowała. W pewnym momencie Iwan Aleksandrowicz przypomniał mi, ażebym nazajutrz, w sklepie, gdzie kupuję marki pocztowe do kolekcji, zapytał o śpiewnik z pieśniami rewolucyjnymi.

– A mnie nie zaarrestują za to? – zawołałem zdumiony.

Wszyscy dorośli zaśmiali się, ale, {jakkolwiek} zawstydzony i zbity z tropu, nie dawałem {przecież} jeszcze za wygraną.

– {Wszak} rewolucja już się skończyła! zawołałem dłubiąc widelcem {w kawałku} sera.

– Dopiero się zaczyna! – odparł Iwan Nazariew, znowu śmiejąc się.

A {dalej: gdy} któregoś dnia wywieszono na mieście trójkolorowe flagi, Iwan Aleksandrowicz ze szczerym gniewem i żalem zawołał do mojego ojca:

– Wcale nie chciałem tego. Nie po tej zamierzam drodze pchać bieg dziejów Rosji.

Ale to nie on pchał bieg dziejów: to jego pchały dzieje. Któregoś wieczora przyszedł do nas, połyskując oficerskimi naramiennikami. Było to na tydzień przed naszym wyjazdem z Ufy. Dokładnie przypominam sobie wszystkie ważniejsze wydarzenia każdego z siedmiu dni tego ostatniego tygodnia. Pierwszego więc dnia błądziłem między łódkami na brzegu rzeki: nie znalazłem się tam przypadkowo – wiedziałem, że o tej a o tej godzinie zastanę {nad rzeką} Nadię. Nie omyliłem się: ubrana w granatową sukienkę siedziała na dziobie łodzi, z nogami pograżonymi po kostki w wodzie. Powiedziałem, że ją kocham: nie zaśmiała się, jak się tego obawiałem, ale kazała mi się pocałować w obie ręce i policzki. Była smutna. Bardzo smutna. Nazajutrz – jak gdyby wiedziony {niesłyszalnym} głosem zmarłej matki – w wielkim zdenerwowaniu szukałem ojca po całym mieście, zaglądając do wszystkich znajomych: znalazłem go wreszcie w klubie literacko-artystycznym „Ikar” – był w towarzystwie pani Kijkowej {i innej jeszcze kobiety, do której mówił z wielką czułością}. Następnego dnia Nadia przyszła do nas pod nieobecność ojca; słyszałem, jak Nastia mówiła do niej, zdaje się, że o moim ojcu:

– Czołga się przed nią na kolanach, pantofle jej całuje.

– To nieprawda – krzyknęła rwącym się głosem Nadieżda Aleksandrowna. Wyszła od nas bardzo zmieniona na twarzy. Następnego z kolei dzień, a raczej wieczór przyniósł mi wielką {a przykrą} emocję: w cyrku {braci Maluginów} ulubieniec mój, mistrz świata {Aleksander} Latzgalf, nie dostał żadnej z trzech nagród na konkursie najpiękniejszej budowy ciała męskiego; pierwszą nagrodę dostał Bader, zapaśnik bardzo słaby. Martwiłem się też tym, że wyjeżdżam przed ujawnieniem nazwiska Błękitnej Maski: dopiero za dziesięć dni miała się odbyć rozstrzygająca walka tajemniczego zapaśnika z Kondratienką, któremu wszyscy przepowiadali zwycięstwo.

Na dwa dni przed wyjazdem dostałem od pani Kijkowej pożegnalny prezent: wielką księgę *Wszechświat i ludzkość*, tego samego zaś wieczora poznałem swoją przyszłą macochę – pamiętam, że miała czarny, aksamitny toczek i woalkę. Wyjeżdżała razem z nami. Wychodząc {od nas} minęła w bramie Nadię: nie wiem, czy któraś z nich domyślała się, kim jest ta druga. Ja zaś nic Nadii nie powiedziałem: zresztą, sam nie byłem jeszcze pewien. W milczeniu {podałem} Nadieżdzie

Aleksandrownie list znaleziony w trakcie pakowania się wśród papierów ojca: ten sam list, który mu wręczyła na dworcu, wróciwszy z Kaukazu. Przeczytałem go uprzednio, popłakałem się. Wiedziałem już na pewno, że jeżeli uczucia Nadii Igna do kogoś w tym domu, to nie do mnie. Takie jeszcze byłem dziecko, że to odkrycie naprawdę mnie oszołomiło: wielokrotnie wracałem wzrokiem do nieakuratnie, nerwowo rzuconych na papier słów: „Kocham tylko pana, nigdy nie będę nikogo tak kochała – niech mi pan daruje niedelikatną, brutalną, być może, szczerą, ale za rok pozostanie pan sam... Niech pan wspomni wówczas o mnie”. To ten list spowodował nakaz ojca, abym przestał chodzić do Nazariewów. Wzrokiem zapytałem Nadii, co z listem zrobić. Kazała, ażebym śmiało zwrócił się do ojca, pytając, co ma stać się z listem. Wykonałem rozkaz.

– Czytałeś ten list? [...] <sup>75</sup>.

[...] [po]wiedziała pani Kijkowa.

– Na razie – zaznaczył jej mąż. – Władza, która wraca, zawsze jest surowsza niż za pierwszym razem...

– A niech będzie surowsza – machnął ręką Czartoryski – jam tutejszy i tu umrę... Choćby trzeci raz wracała, jeszcze surowsza, też się nie ruszę...

– Trzeci raz już nie wróci – uciał rozmowę Iwan Nazariew.

Nadia nie odprowadzała nas na dworzec. Wyznaczyła mi pożegnalną schadzkę w Parku Uszakowskim. Smutkiem tchnął park: drzewa były na wpół już nagie, suche żółte liście chrzęściły pod nogami, hala bilardowa była zamknięta, na werandzie mleczarni ani żywej duszy. Nadieżda Aleksandrowna miała na sobie popielaty płaszczyk i czarne lakierowane pantofle, bardzo wąskie w palcach. Długo głaskała mnie po głowie: w pewnej chwili objęła moją twarz dłońmi, zbliżyła ją do swojej, znacząco patrzyła mi w oczy, jak gdyby zastanawiając się nad czymś. Być może, wahała się przez chwilę, czy nie pocałować mnie w usta: pocałowała w oczy. A potem... w rękę.

– To nie ciebie całuję, twego ojca – powiedziała {wzruszona głęboko}, precyzyjnie a okrutnie rozwiewając resztki moich złudzeń. Utrata wszelkiej nadziei zrodziła we mnie odwagę, nawet zuchwalstwo. Wydawałem się sobie w tej chwili Anatolem Kuraginem czy Dołochowem z *Wojny i pokoju*. Musiałem się jednak czerwienić, pytając wyzywająco, jak mi się zdawało:

– A dla mnie nic?

– Dla ciebie to, odpowiedziała, rozpinając sprzączkę na prawym pantoflu.

Ukląknę i z żarliwą pokorą pocałowałem uwydatniające się poprzez {cienką} tkaninę pończochy długie, ale nie wąskie palce.

– Bawimy się tylko w to, co mogłoby być prawdą najprawdziwszą – powiedziała z westchnieniem, wkładając pantofel. – Ja bym jego spełniała pokornie wolę, a ty moją... Ale już idź...

Poszedłem. Zobaczyłem ją jednak raz jeszcze. Po roku niespełna. Na stację Jurga przybył kolejny transport cofających się na Daleki Wschód kołczakowskich wojsk. Z jednego z wagonów wysypywać się zaczęła gromada młodych kobiet. Miały na sobie wysokie buty, spodnie i oficerskie, jak mi się zdawało, naramienniki. Na {rękawach} kilku z nich wyhaftowane były trupie główki. Dwie czy trzy

<sup>75</sup> Następnie brak jednej karty, oznaczonej numerem 133 II.

poczęły się spierać z babiną sprzedającą porzeczeki. Jedną z nich była Nadia. Zawołałem na nią, ale za daleko było – nie [...] <sup>76</sup>.

### Spotkanie trzecie

Gimnazjum polskie w Charbinie było koedukacyjne <sup>77</sup>. Gdyby nie to, mało by czym się różniło od naukowych zakładów przyklasztornych: księża mieli na nasze życie szkolne, a i na pozaszkolne także, wpływ decydujący; to zaś, że gmach gimnazjum wzniesiono tuż obok kościoła świętego Stanisława na placu stanowiącym własność parafii katolickiej – jeszcze bardziej zacieśniało więzy między szkołą a kościołem, między rozkładem lekcji a rozkładem nabożeństw, między psychologią nauczycieli i uczniów a duchem plebanii... Jakżeż często mnie i moim kolegom czy koleżankom wydawało się, że służenie do mszy czy strojenie ołtarzy w dni przedświąteczne to sprawa stokroć bardziej istotna niż postępy w algebrze czy w języku angielskim! I jak naturalną było dla nas rzeczą korygowanie czy wręcz uchylanie zarządzeń dyrektora gimnazjum przez najwyższy bezspornie autorytet proboszcza!... Ba, ileż razy myśmy sami jawnie apelowali do tego najwyższego autorytetu, z dawna już wyrobiwszy sobie przekonanie, że ksiądz proboszcz o wiele pobłażliwiej i – zdaje się – {nieporównanie} inteligentniej traktuje dziecięcą czy młodzieńczą potrzebę bawienia się, a nawet flirtowania, niż poczciwy, solidny, ale {mocno} zacofany dyrektor... Podejrzewam, że nasz dyrektor najchętniej by widział rozdzielenie gimnazjum na dwa odrębne zakłady: męski i żeński... Jeżeli tak, to na pewno by mógł liczyć na pełne poparcie panny Józefy <sup>78</sup>, nauczycielki historii, kobiety {inteligentnej}, zacnej, a pełnej {zawsze} najwyższego samozaparcia się, przecież stanowiącej typowy okaz wychowawczyni z zakładu przyklasztornego. Pamiętam, wpadła kiedyś na plebanię zdyszana, podniecona, nieprzytomna prawie; długo szukała proboszcza, a gdy go wreszcie znalazła, z trudem dobierała słów, ażeby wyjaśnić, o co jej chodzi – tak bardzo była wzburzona. Stała się bowiem – wedle jej opinii – rzecz {niesłychana}, rzecz straszliwa, wymagająca może drakońskiego środka rozpedzenia całej klasy trzeciej: przykra to rzecz, ale chyba konieczna dla uchronienia reszty młodzieży przed epidemią gangreny moralnej...

– Ale co się {właściwie} stało? – zapytał proboszcz, nie na żarty zaniepokojony. {W wielkim skupieniu} wysłuchał tchnącej zgrozą relacji, że na tablicy ściennej w klasie trzeciej wypisano zapowiedź ślubu tego a tego ucznia z tą a tą uczennicą, poniżej zaś dodano, że ci a ci mają być świadkami...

<sup>76</sup> W tym miejscu, na k. 136 II, urywa się zapis części drugiej.

<sup>77</sup> Gimnazjum to, im. Henryka Sienkiewicza, powstało formalnie w 1916 r. z przekształcenia wyższych klas szkoły elementarnej, prowadzonej przez Towarzystwo im. św. Wincentego à Paulo. W roku 1917 gimnazjum i szkoła początkowa zostały przeniesione do nowego, piętrowego gmachu, wybudowanego z inicjatywy proboszcza charbińskiej parafii polskiej p.w. św. Stanisława, ks. Władysława Ostrowskiego. Gimnazjum stanowiło w sensie prawnym własność prywatną parafii. Humanistyczna szkoła charbińska była jednym z trzech gimnazjów polskich poza granicami kraju (obok działających w Chicago i w brazylijskiej Kurytybie), ale jako jedyna miała prawa publiczne oraz program całkowicie odpowiadający równorzędnym szkołom w Polsce.

<sup>78</sup> Józefa Brudowska była, jak wspomina konsul polski z Charbina, K. Symonowicz (*Miraże mandżurskie*. Warszawa 1931, s. 252), „niezmordowaną współpracowniczką księży w dziedzinie oświatowej i ratowniczej i pionierką szkolnictwa polskiego w Mandżurii”.

– A czy nie napisano, kto ma ślub dawać? – przerwał proboszcz pannie Józefie, wciąż zachowując skupioną, prawie groźną powagę.

– A jakże! – wyszeptła, z trudem łowiąc oddech – ze zgrozą wymieniała nazwisko jednego z trzecioklasistów.

– A więc nie ja? – odetchnął proboszcz {jak gdyby} z ulgą, {i to} umyślnie przesadną, ba, groteskową. – Więc czemuż się pani martwi, droga panno Józefo? Ten ślub nie będzie ważny... – I nie mogąc hamować dłużej wzbierającej potężnie fali wesołości, roześmiał się grzmiąco na cały głos – długo się śmiał...

Z rozczuleniem wspominam zawsze pannę Józefę, jej gorący patriotyzm, jej humanistyczne wysoce rozmiłowanie się w historii i literaturze, całą jej wolną od cienia myśli o sobie pracę wychowawczą; muszę jednakże powiedzieć, że nie była dobrym psychologiem, czego dowodem taki chociażby przykład: w dwa dni po złożeniu egzaminu dojrzałości stałem na ulicy, tuż przed bramą kościelną, z koleżanką, która – zdaje się – {zaszczycała} mnie uczuciem silniejszym ponad zwykłą szkolną przyjaźń.

Rozmowa nasza miała wyraźny charakter flirtu, a i nie tylko rozmowa: spojrzenia także. W pewnym momencie zobaczyłem, że nadchodzi panna Józefa – mruknąłem więc:

– Zaraz rozłączy nas, {skrzyczy} i każe iść do kościoła na nieszpory.

A na to moja koleżanka, dla której przez dziesięć prawie lat nie tylko każde słowo panny Józefy, ale każde zmarszczenie jej brwi było najświętszym drogowskazem etycznym:

– Co mi tam?! {Nie boję się.} Skończyłam gimnazjum i będę robiła, co mi się podoba.

Wspomnienia moje o wieloletnim naszym charbińskim dyrektorzem gimnazjum<sup>79</sup> nie zawierają w sobie może tak wielkiego ładunku {dobrotliwie uśmiechniętej} czułości, jak wspomnienie o pannie Józefie: przepaja je natomiast uczucie głębokiego szacunku i wielkiej wdzięczności. Temu bowiem {właśnie} człowiekowi zawdzięczam wniknięcie – pochlebiam sobie: dość gruntowne – w tajniki składni i stylistyki polskiej; jeżeli wolno mi nazwać siebie pisarzem, to nie wolno mi [nie] dodać, że to on – ów dyrektor charbińskiego gimnazjum imienia Sienkiewicza, zakładał fundamenty {filologiczne} pod całą moją późniejszą pracę literacką. Zresztą nie chodzi tylko o mnie; iluż młodych Polaków i Polek wyrosłych na Dalekim Wschodzie zawdzięcza mu to, iż po powrocie do kraju nie potrzebowali się wstydić przed rodakami stopnia swej umiejętności we władaniu mową ojczystą; w dziejach walki o czystość języka polskiego za granicą {zaprawdę} niewielu tak owocną wykonało pracę jak dyrektor Stanisław Janiszewski...

<sup>79</sup> Dyrektora gimnazjum, Stanisława Janiszewskiego, wspominał pisarz (p. t. [T. Parnicki], *Gimnazjum polskie w Charbinie w przededniu likwidacji*. „Kurier Lwowski” 1934, nr 171, z 25 VI (dodatek: „Kurier Literacko-Naukowy” nr 26, s. 7)) w sposób następujący: „On to zaprowadził ład i porządek w gimnazjum – on też największe położył zasługi na polu pielęgnowania czystości i poprawności języka polskiego, dając niedostateczny stopień z polskiego uczniom, którzy w szkole wymówili choćby jedno słówko rosyjskie. Świetny pedagog i znawca gramatyki, nie był jednak w stanie p. Janiszewski rozbudzić w uczniach miłości do literatury polskiej; cechowały go w dodatku pedanteria i formalizm [...]”. Janiszewski był dyrektorem gimnazjum w latach 1920–1925 oraz od 1929 roku. W latach 1925–1929 funkcję dyrektora pełnili kolejno Jan K a l i n o w s k i oraz inż. Kazimierz G r o c h o w s k i.



A przecież i o nim {też} trzeba powiedzieć, że nie umiał wniknąć w psychologię młodzieży: zakazywał nam grywać na scenie szkolnej sztuki – nawet fragmenty z dzieł klasyków dramaturgii polskiej – o ile znajdowały się tam role kobiece; nie dopuszczał razem na scenę chłopców i dziewczynki, chyba w jasełkach na Boże Narodzenie. A jaki był wynik tego ultrapurytańskiego rygoryzmu? Ten tylko, że gdy Stanisław Janiszewski wyjechał na trzy lata do Polski, z pasją rzuciliśmy się na cały zakazany repertuar. Były to wprawdzie zawsze utwory {polskich} klasyków tylko – Mickiewicz, Słowacki, Aleksander Fredro – sądzę dziś jednakże, że nasz zasłużony dyrektor bliski byłby wcale poważnego ataku nerwowego, gdyby zobaczył mnie, jak przyciskając do piersi mandolinę, imitującą lutnię, klęcząc przystrojony w czerwony aksamit u stóp jednej z naszych najładniejszych koleżanek, Izabeli B.<sup>80</sup>, w szczerym zachwycie śląc ku niej żarliwe słowa Rizzia, przeznaczone do Marii Stuart Szkockiej:

Królowo, ty masz lice i serce anioła

albo:

Pani, nie chmurz lica,  
Niech paż w twarzy królowej gniewu nie wyczyta,  
Paż dziecko, chciałby z wody dostać twarz księżycy...<sup>81</sup>

Proboszcz nasz natomiast nie przejmował się wcale tą sublimacją erotyzmu siedemnastolatków w szlachetne formy poezji klasycznej. Przeciwnie, widział w niej prawdopodobnie sprawnie działającą neutralizację tęsknot za pokryjomymi schadzkami, których moglibyśmy zazdrościć uczennicom i uczniom gimnazjów rosyjskich. Zresztą, nie tylko nasza scena szkolna działała jako niezawodny katalizator i transformator dojrzewających instynktów; cała {na wespół seminaryjna} atmosfera naszego gimnazjum sprzyjała procesowi sublimacji: czyż nie zdarzało mi się na przykład, i to za wyraźną aprobatą spowiednika – przystępować częściej do Komunii z myślą o {coraz głębszym} udoskonaleniu się duchowym w tym przede wszystkim celu, ażeby czuć się godnym dziewczyny, o której sądziłem, że jestem w niej zakochany?!... Albo czyż nie przypisywałem długiej przerwy w korespondencji z uroczą M. M.<sup>82</sup>, która od lat już bawiła w Polsce – temu właśnie, że

<sup>80</sup> Izabela Baryszewska, młodsza o 3 lata koleżanka z charbińskiego gimnazjum, zdała maturę w r. 1930 (zob. *Spis abiturientów polskiego gimnazjum im. H. Sienkiewicza w Charbinie*, Archiwum Akt Nowych, zbiór *Kolonia Polska w Mandżurii*, teczka 44: *Polska szkoła powszechna i gimnazjum im. H. Sienkiewicza w Charbinie*), następnie przeniosła się do Polski. Baryszewska była, obok Stanisławy Rosłanówny, najczęstszą partnerką Parnickiego w przedstawieniach przygotowywanych przez amatorską trupę teatralną charbińskiego gimnazjum w latach 1925–1927. Zob. K. Symonolewicz - Symmons, *Polonia w Charbinie*. „Przegląd Polonijny” 1978, z. 2, s. 109.

<sup>81</sup> J. Słowacki, *Maria Stuart*, akt I, sc. 1, w. 67; akt III, sc. 7, w. 234–236.

<sup>82</sup> Chodzi o Malwinę Mackiewicz (w listach określaną też jako Malusia Mackiewiczówna, Malusia lub M. M.), jedną z najbardziej fascynujących, ale też tajemniczych postaci w biografii Parnickiego. Wprawdzie nie była ona pierwszą miłością pisarza (jak Nadieżda Nazariewa), stanowiła jednak przez wiele lat obiekt idealnej miłości Parnickiego. Malwinę poznał Parnicki w Charbinie, prawdopodobnie tuż po przyjeździe do tego miasta w 1920 roku. Być może już w 1921 r. przeniosła się Malwina wraz z rodziną do Polski, gdzie zamieszkała na jakiś czas gdzieś w Wileńskiem. Parnicki prowadził z nią ożywioną korespondencję, która trwała do 1929 roku. W listach lwowskich do swego charbińskiego nauczyciela, Konstantego Symonolewicza, tak pisał Parnicki: „ona dla mnie

oto zaniedbując przez czas długi majowego nabożeństwa, musiałem bardzo nisko upaść moralnie?!... A nie był to bynajmniej indywidualny wypadek egzaltacji czy sublimacji; gdy mój bardzo trzeźwy a wesoły kolega, Piotr M., opuścił nas, udając się do dalekiego Poznania – pierwszy jego list do mnie wyglądał na opis Sodomy i Gomory. Cóż go tak zgorszyło?... Oto nic innego, jak to tylko, że jedna z koleżanek, której bardzo się podobał (a chłopak był naprawdę nieprzeciętnie przystojny) – powiedziała mu kiedyś w przyćmionej klatce schodowej, że chce, aby ją pocałował... A inny kolega, Bolesław S., bardziej jeszcze trzeźwy i praktyczny, grzmiał niby Juwenal lub święty Hieronim, w ciętych, zjadliwych swych listach z Europy: „Sport i tańce! – nic ich poza tym nie interesuje. Zapytasz o Hamleta: myślą, że poplątałem z Rudolfem Valentino. Między spowiedzią {a komunią umawiają się na randki}”.

Więc też poza panną Józefą – dyrektor nasz był wówczas w Polsce – nikt w gimnazjum ani spośród nauczycieli i wychowawców, ani spośród koleżanek i kolegów, najbardziej chociażby żarliwych w {pościgu za} ideałem ascezy – nie gorszył się wcale tym, iż chronicznie byłem zakochany, a w coraz to innym obiekcie. Pobłaźliwie też traktowano moją manię rozdawania koleżankom – i to {naraż} wielu – własnych fotografii z czułymi napisami na odwrotnej stronie zdjęcia. Kiedyś – byłem wówczas w siódmej klasie – udało mi się wyjść na zdjęciu szczególnie, jak mi się wydało, korzystnie. Postanowiłem więc zrobić sobie dwadzieścia cztery odbitki dodatkowe. Był wyjątkowo piękny wczesnowiosenny dzień, więc zrezygnowałem z autobusu i piechotą wyruszyłem do fotografa do Modiagou, którą to dzielnicę miasta nazywano także Carskim Siółem, a to ze względu na wielką liczbę emigrantów rosyjskich, nieprzejednanych monarchistów, zamieszkujących ową część Charbina w bardziej zwartej masie niż jakąkolwiek inną dzielnicę. Ale właśnie ta okoliczność nakazywała mi szczególną ostrożność: należało koniecznie ozdobić klapę płaszcza dwukolorową polską odznaką. Na mostach bowiem łączących Modiagou z dzielnicą Nowe Miasto patrolowały zazwyczaj oddziały „białej” rosyjskiej młodzieży męskiej: Muszkieterzy lub członkowie związku Czarny Pierścień. Zwyczajem ich było zatrzymywać przechodniów groźnie brzmiącym zapytaniem: „A ty jaki jesteś? Czy nie »czerwony« czasem?” Na spotkaniach tych najgorzej z reguły wychodzili tacy, co usiłowali wykręcić się dyplomatycznie, deklarując, że: „ani biały, ani czerwony”. Odpowiedź bowiem na tego typu deklarację stanowił triumfalny okrzyk: „Właśnie takich my bijemy!”, po czym rozlegały się odgłosy uderzeń i wołania o pomoc, na które stojący w pobliżu policjant chiński reagował {pełną dostojności} apatią, naprawdę godną wielkiego myśliciela, z rzadka tylko uciekając się do symbolicznego całkowicie gwizdka. W wypadkach zaś ocenionych jako wyjątkowo poważne nie śpiesząc się szedł do najbliższego telefonu, ażeby sprowadzić karetkę pogotowia.

Polska odznaka biało-czerwona zasadniczo chroniła przed {niemiłą} przygodą; ci, którzy ją nosili, {uzyskiwali coś w rodzaju immunitetu}, a {może tylko}

---

jest symbolem, symbolem tej kobiety, której już nie ma teraz, której cień nawet znikł w pomroce wieków; symbolem miłości, o której mówił mi nieraz Pan, a której teraz nigdzie nie znaleźć... Wreszcie ona jest dla mnie symbolem lepszej strony życia, lepszej części świata...” (fragment listu z 26 IX 1928); „Malusia, długoletni, chłopięcy ideał... najbardziej bezcielesny, najpełniej dantejski...” (fragment listu z 14 VII 1932). Malwinie Mackiewicz zadedykował Parnicki powieść *Tylko Beatrycze* (1962).

odroczenia aż do czasu, gdy ten lub ów członek związku Czarny Pierścień zasiądzie w warszawskim zamku króla Władysława IV w charakterze gubernatora z ramienia wróconej na tron dynastii Romanowów... Zdarzali się {co prawda} jednakże {i} tacy {też} nieprzejednani a niecierpliwi gorliwcy wśród Muszkietarów, którzy byli zdania, że właściwie trzeba bić {nas} zaraz, a to za {dolną}, czerwoną połowę dwubarwnej odznaki. Gorliwców tych przecież nie spotykało się zbyt często, na ogół {więc} przechadzka do Modiagou nie stanowiła dla uczniów naszego gimnazjum poważnego niebezpieczeństwa. Znacznie {bardziej niebezpieczne} były wyprawy w odległe zakątki dzielnicy, zwanej Przystanią – tam na odmianę czyhali synowie robotników kolejowych czy portowych (Charbin jest dużym portem rzeczonym i wielkim węzłem kolejowym); ci byli „czerwoni” i w myśl doktryny o międzynarodowości rewolucji nie przyjmowali do wiadomości żadnych różnic narodowościowych: chłopiec Polak z Nowego Miasta był dla nich takim samym białogwardzistą jak Muszkietar z Modiagou – odznaka biało-czerwona żadnej {w ich oczach} nie stanowiła ochrony. Rzecz inna, że „czerwoni” na ogół mniej byli skory do bicia niż „biali”; ale gdy już bili, to z o wiele większą zaciętością.

Zakład fotograficzny, do którego zdążyłem, znajdował się na początku Carskiego Sioła, w pobliżu przecięcia się ulic Gogola i Czystej, która to ostatnia nazwa wyglądała na dodatkowe jak gdyby uczczenie wielkiego humorysty rosyjskiego: cały Charbin bowiem tonie {co najmniej} przez pół roku w okropnym błocie, ale {błoto to} nigdzie nie bywało tak okropne, jak właśnie na ulicy Czystej. Chińscy nędzarze sporo tu zarabiali przenosząc na plecach przez ulicę starsze panie; młodsze zazwyczaj brnęły przez błoto z pantoflami i pończochami w rękę. Mężczyźni przeważnie opancerzali się przeciw błotom gumą wysokich kaloszy; nierzadko wylądowywali na drugim brzegu ulicy Czystej – {a} i nie tylko Czystej – w kaloszu na jednej tylko nodze, a to i bez żadnego.

Mnie jednakże do fotografa prowadziła szczęśliwa zaiste gwiazda: z przyjemnym zdumieniem stwierdziłem fakt istnienia wąskiej drewnianej kładki, długiej na kilkanaście kroków, a wiodącej od początku ulicy poświęconej wielkiemu ironiście aż do samych drzwi zakładu fotograficznego. Zakład mieścił się w {dużej} drewnianej budwie, której białość symbolizowała jak gdyby polityczne oblicze dzielnicy. Przywitała mnie panienska, ta sama, co załatwiała moje pierwsze zamówienie: z wyrozumiałym uśmiechem przyjęła moje zażenowane nieco oświadczenie, że chciałbym mieć dalsze dwadzieścia cztery odbitki „tak bardzo dobrego zdjęcia”. Z wyraźną niechęcią natomiast ustosunkowała się do mojego żądania, ażeby odbitki były gotowe nazajutrz. Zaniepokojony, powołałem się na swoją dawną znajomość z samym właścicielem zakładu, któremu poznałem {jeszcze} przed paru laty jako biletera w kinie „Orient”. Odpowiedziała mi lekceważąco i wyniośle, że protekcja na nic; zakład bowiem ma od dwunastu dni nowego właściciela. Wyraźnie upadły na duchu, poprosiłem ją jednakże błagalnie {nieomal}, ażeby zrobiła mi tę ogromną grzeczność i spróbowała uzyskać zgodę nowego właściciela.

– Chyba pod warunkiem, że pan więcej klientów dostarczy nam z polskiego [gimnazjum] [...] <sup>83</sup>.

<sup>83</sup> Następnie brak jednej karty, oznaczonej numerem 22 II.

[...] Zgadza się... To nadzwyczajne!

I nim zdążyłem uświadomić sobie, skąd ja właściwie znam ten głos – już byłem w objęciach Iwana Aleksandrowicza Nazariewa. Trząśł mną, jakby chciał mnie złamać na dwoje.

– Co z twoim ojcem?!

– Co z pańską siostrą?!...

Obydwa pytania padły równocześnie. Niech mi darują Teofila i Czesława, Wanda i Izabela, obie Haliny i obie Jadwigi: w owej chwili nie pamiętałem o ich istnieniu, ba, nie pamiętałem nawet o dalekiej, ubóstwianej Beatryczy moich lat chłopięcych: mieszkającej od lat już w Lesznie pod Poznaniem, uroczej, złotowłosej M. M. ... Znowu byłem cały przy Nadii Nazariewej. Łudziłem się chwilę, że {oto} może za go[dzinę] [...] <sup>84</sup>.

---

<sup>84</sup> W tym miejscu, na karcie oznaczonej numerem 22 III, urywa się zapis wspomnień.